Oddział Podróży do Nieba



Doktor Józef Kopicz w otoczeniu współpracowników, Kocborowo, grudzień 1936. Podpis na odwrocie fotografii: „Jaśnie Wielmożnemu Panu prymarjuszowi Dr. Kopiczowi w dowód wdzięczności za nader troskliwą opiekę w chorobie, ofiaruje Józefa Urtnowska”, fot. arch. Ewy Kopicz-Kamińskiej.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Pamięci doktora Józefa Kopicza, brata mojej babci Anny Sokołowskiej, wybitnego lekarza psychiatry, dla którego ludzkie życie było bezcenną wartością, zamordowanego razem z pacjentami w Lesie Szpęgawskim 17 października 1939 roku.

Cechą rozwiniętych społeczeństw jest humanitaryzm. Słabych, chorych, upośledzonych otacza się troską i opieką, pomaga przetrwać trudne chwile i nie liczy się kosztów ich utrzymania. Dlatego trudno nam zrozumieć, jak w XX wieku mogła powstać tak zbrodnicza machina, która doprowadziła do eksterminacji pacjentów szpitali psychiatrycznych.

Po I wojnie światowej zaczęto prowadzić w Niemczech rozważania medyczno-filozoficzne na temat podejścia do ludzi upośledzonych umysłowo. Tę głośną dyskusję zapoczątkowała praca znanego prawnika Karla Bindinga i lekarza psychiatry Alfreda E. Hochego „Wydanie zniszczeniu istot nie wartych życia", która ukazała się drukiem w 1920 roku. Autorzy rozprawy jasno wypowiedzieli krążące w środowisku niemieckich prawników i psychiatrów poglądy o bezwartościowości ludzi chorych psychicznie, będących tylko „pustą ludzką skorupą" i stanowiących zbędne obciążenie dla społeczeństwa wyniszczonego wojną. Nawoływali do porzucenia niepotrzebnego humanitaryzmu na rzecz wyższej racji państwowej. W 1928 roku

w Szwajcarii, a w 1933 roku w Niemczech wprowadzono przepisy prawne, które zezwalały na masową sterylizację pacjentów z zaburzeniami psychicznymi. Eugenika (selektywne rozmnażanie w celu udoskonalenia gatunku) znalazła też zwolenników w Polsce, nie był to jednak ruch większościowy wśród psychiatrów i nie została uchwalona ustawa sterylizacyjna.

Takie podejście do „opieki" nad osobami upośledzonymi przerodziło się w Niemczech w plan masowej zagłady pacjentów szpitali psychiatrycznych, tzw. program eutanazji. Pod koniec października 1939 roku Adolf Hitler podpisał z datą wsteczną – 1 września rozporządzenie sankcjonujące wejście w życie tego programu. Określano go kryptonimem Akcja T4, od miejsca siedziby kierownictwa w Berlinie – Tiergartenstrasse 4. W akcji wzięło udział wielu niemieckich lekarzy psychiatrów, neurologów, pediatrów.

Opracowanie nowych technologii zabijania ludzi wymagało wielu prób i zdobycia doświadczenia. Poligonem doświadczalnym stały się więc szpitale psychiatryczne na terenach okupowanych, gdzie m.in. zastosowano po raz pierwszy komory gazowe.

Na początku wojny zadanie opróżnienia zakładów psychiatrycznych na Pomorzu otrzymał SS-Obersturmführer Kurt Eimann. Zorganizowanie akcji powierzono Erichowi

Grossmanowi, pełnomocnikowi do spraw służby zdrowia gauleitera gdańskiego Alberta Forstera. Już w pierwszych dniach września Grossmann zwizytował słynny zakład dla chorych psychicznie w Kocborowie i wydał rozporządzenie o zmianie zarządu, ustanawiając nowym dyrektorem Waldemara Schimansky'ego vel Siemens. Niedługo potem rozlokowano tu oddziały SS. Na ścianach zawisły napisy – tutaj mówi się tylko po niemiecku. W ramach akcji germanizacyjnej spalono część cennych zbiorów bibliotecznych.

Kocborowo obecnie jest dzielnicą Starogardu Gdańskiego. Przed wojną była to odrębna miejscowość, w której pod koniec XIX wieku powstał ośrodek, zbudowany na wzór pruskiej sieci zakładów psychiatrycznych. Zajmował 19 hektarową powierzchnię, a do tego dochodziło 26 ha zabytkowego parku. Był to jak na owe czasy bardzo nowoczesny zakład, praktycznie samowystarczalny.

W 1920 roku funkcję dyrektora zakładu w Kocborowie powierzono doktorowi medycyny Stanisławowi Kryzanowi. Za jego dyrekcji ośrodek bardzo się rozwinął. Zatrudnieni zostali specjaliści, mający możliwość prowadzenia badań, kształcenia i ciągłego rozwoju. Średni personel medyczny wysyłany był na kursy doszkalające. Organizowano zjazdy psychiatryczne i konferencje. Lekarze mieli do dyspozycji jeden z największych w Polsce zbiorów fachowej literatury medycznej, kompletowany od

końca XIX wieku.

W 1933 roku dyrektor Kryzan zatrudnił jako swojego zastępcę doktora Kopicza – specjalistę, zafascynowanego psychiatrią. Urodzony 31 stycznia 1902 roku Józef Marceli Kopicz dzieciństwo spędził w Lidzbarku Welskim, pięknym pomorskim miasteczku położonym nad rzeką Wel i jeziorem Lidzbarskim. Już jako nastolatek, w latach 1918-19 należał do Straży Ludowej w Brodnicy – organizacji wojskowej na Pomorzu. Armia Polska na terenie byłej Kongresówki dopiero powstawała, praca takich organizacji była więc bardzo ważna. Polegała na dostarczaniu armii wszelkiego rodzaju broni i sprzętu oraz przeprowadzaniu ochotników przez granicę. Działalność ta trwała do 1920 roku, kiedy to Brodnica została włączona „do macierzy”.



Halina i Józef Kopiczowie z synem Adamem w swoim mieszkaniu w Wejherowie, fot. arch. Ewy Kopicz-Kamińskiej.

Józef Kopicz skończył studia medyczne na Uniwersytecie w Poznaniu, a dyplom odebrał dzień przed Wigilią w 1925 roku, z rąk profesora Antoniego Jurasza. Po studiach, do 1928 roku pracował jako lekarz domowy. Już wtedy interesowali go

pacjenci z zaburzeniami psychicznymi. Wracając z pracy dzielił się z żoną Haliną swoimi spostrzeżeniami na temat psychiki człowieka i związanych z nią chorób. Chętnie więc przyjął propozycję starosty pomorskiego podjęcia pracy w niedużym oddziale psychiatrycznym w Wejherowie. Po likwidacji szpitala, objął stanowisko prymariusza w Kocborowie. Przyjechał tu wraz z żoną i synem Adamem, za rok przyszła na świat córka Ewa. Doktor wraz z rodziną zamieszkał w prawym skrzydle głównego budynku szpitalnego z gabinetami dyrektorów, pokojami administracji oraz biblioteką zwaną wówczas Książnicą. Lewe skrzydło było domem dyrektora Kryzana. Kompleks administracyjny otaczał park, część mieszkalna, z wieżyczką i werandą, tonęła w zieleni, a pod okna podchodziły sarny. Dr Kopicz oprócz pełnienia funkcji dyrektora do spraw medycznych pracował też na oddziałach VII i XIX. Jak wspominała jego córka Ewa Kopicz-Kamińska, także lekarz psychiatra, sądząc po publikacjach, zajmował się psychozami z kręgu schizofrenii oraz psychozami o podłożu zaburzeń somatycznych (np. poporodowymi).



Józef Kopicz z synen Adamem i córką Ewą w Kocborowie, 1937 rok, fot. arch. Ewy Kopicz-Kamińskiej.

Tuż przed wybuchem wojny, w sierpniu 1939 roku Halina Kopicz wraz z dziećmi pojechała na wakacje do Kamiennej Góry. Nie przyszło jej wówczas do głowy, że opuszcza dom na zawsze. Tymczasem dr Kopicz zgłosił się do mobilizacji, nie został jednak wcielony do polskiej armii, dołączył więc do rodziny. Uciekali na wschód, ale w wyniku niemieckich działań, w połowie września znaleźli się we Wrocławiu. Stamtąd pojechali do rodziny Haliny Kopicz do Wolsztyna koło Poznania. W tym czasie nowa dyrekcja zakładu w Kocborowie wydała rozporządzenie wzywające Polaków przebywających poza terenem szpitala, aby zgłosili się

do pracy w terminie do 15 października.



Zakład psychiatryczny w Kocborowie przed wojną. Centralna część – budynek dyrekcji, w lewym skrzydle mieszkał dyrektor Stanisław Kryzan, w prawym wice dyrektor Józef Kopicz z rodziną, fot. arch. Ewy Kopicz-Kamińskiej.

Józef Kopicz postanowił wrócić do Kocborowa mimo próśb i łez żony. Uważał, że miejsce lekarza jest przy chorych. Mówił, że nic złego nie zrobił, więc nie ma czego się obawiać. W sobotę 15 października na dworcu w Starogardzie spotkał urzędnika, który go ostrzegał, że SS na niego czeka. Jednak doktor zlekceważył to ostrzeżenie. Zgłosił się do biura zakładu, skąd skierowano go na pierwsze piętro do SS-Obersturmführera Karla Braunschweiga.

Widziano go potem dopiero w poniedziałek, gdy wraz z inspektorem Franciszkiem Dunajskim i pielęgniarzem Józefem Tochą prowadzony był pod eskortą SS w kierunku Starogardu.

Po jakimś czasie, zaniepokojona brakiem wieści, przyjechała do Kocborowa Halina Kopicz. Nikt jednak nie umiał jej udzielić odpowiedzi, co stało się z jej mężem. Pojechała więc do więzienia w Starogardzie. Ówczesny pracownik kancelarii więziennej, Marcin Żychski, zdradził jej, że w depozycie znajdują się obrączka i zegarek dr Kopicza. Wtedy dotarło do niej, że mogło stać się najgorsze.

Nie wiadomo do końca, jak wyglądały ostatnie chwile życia doktora Kopicza i przed jakimi stawał dylematami. Tę niekompletną układankę można złożyć jedynie z materiałów archiwalnych, które zostały zawarte w powojennych publikacjach oraz opowieści nielicznych świadków.

Po zgłoszeniu się w Kocborowie dr Kopicz został aresztowany. Pretekstem do zatrzymania był fakt, że kiedy w sierpniu 1939 roku dyrektor Kryzan przebywał na urlopie, zastępujący go doktor Kopicz podpisał się pod odezwą Polskiego Związku Zachodniego, nawołującego do bojkotu niemieckich sklepów. Przez dobę trzymano go w budynku dyrekcji i poddawano torturom. Wieszano za ręce związane z tyłu na haku wbitym w ścianę i bito pasami koalicyjnymi zakończonymi karabińczykami.

Kiedy torturowany tracił przytomność cucono go lejąc na niego wodę.

Z więzienia w Starogardzie przewieziono doktora Kopicza, Franciszka Dunajskiego i Józefa Tochę do Lasu Szpęgawskiego, gdzie w nocy z 17 na 18 października wszyscy zostali zamordowani wraz z kolejnym transportem pacjentów.

Około miesiąc później dwaj bracia Drewsowie, Edmund i Maksymilian spotkali w jednej z restauracji w Starogardzie pijanego SS-mana Kutowskiego, który był przy egzekucji dr Kopicza. Od niego dowiedzieli się, że lekarz stał nad grobem spokojnie, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Po wojnie jeden z pacjentów, któremu udało się uciec, opowiadał Halinie Kopicz, że doktor nie próbował ucieczki, został ze swoimi pacjentami do końca.

Jego zegarek sprzedano na publicznej licytacji w Starogardzie. Podczas ekshumacji w 1950 r. Halina Kopicz rozpoznała charakterystyczną oprawkę od okularów, należących do jej męża.

Gdy Józef Kopicz zgłaszał się w Kocborowie do pracy, nie wiedział, że trwa akcja oczyszczania szpitala i wielu pacjentów leży w masowych grobach w Lesie Szpęgawskim. Niemcy nie afiszowali się z tym, gdzie i po co wywożą chorych, zacierali ślady swoich działań, mordowanie nazywali „ewakuacją”.

Pierwsza taka „ewakuacja” miała miejsce w Lesie Szpęgawskim 22 września 1939 roku. Do kopania dołów zostali zatrudnieni okoliczni chłopi. Wybrano osłoniętą, niewidoczną z daleka polankę.

Oddział zajmujący się egzekucjami pacjentów z Kocborowa nazwano eufemistycznie Himmelfahrtskommando, czyli oddział podróży do nieba. Niemcy podczas wykonywania egzekucji z reguły byli pijani, często dzień przed urządzali całonocne libacje, przy dźwiękach szpitalnej orkiestry. Jak wspominała potem jedna z pielęgniarek, wracając z lasu SS-mani mieli ubrudzone krwią ręce, twarze, mundury i wcale się z tym nie kryli. Spokojnie jedli w kantynie, przechwalając się, kto ilu zabił, kto im uciekł itd. Pacjenci nie byli informowani, co ich czeka, ale czuli, ze coś złego się dzieje. Nie wszyscy pensjonariusze byli „nieobecni”, część z nich cierpiała na choroby okresowe, uleczalne. Akcja trwała do 31 stycznia 1940 roku. Od września do stycznia wymordowano 1686 chorych.

W latach 1940-1945 przystąpiono do realizacji Akcji T4. Zakład w Kocborowie pełnił funkcję placówki pseudonaukowej eksterminacji nie tylko ludzi upośledzonych umysłowo, ale i kalekich, przywożonych też z innych ośrodków. Oblicza się, że podczas wojny zginęło tu ok. 5000 chorych. Ciała pacjentów sprzedawano także Instytutowi Anatomii z Gdańska, profesorowi Rudolfowi Spannerowi, uwiecznionemu w „Medalionach” Zofii

Nałkowskiej.

Po wojnie jedna z ulic Starogardu Gdańskiego została nazwana imieniem doktora Józefa Kopicza. Jego nazwisko widnieje na pamiątkowej tablicy w szpitalu. Był jedynym lekarzem wśród zamordowanych pracowników szpitala.

Córka doktora Kopicza nie wyobrażała sobie, że mogłaby mieć inny zawód, niż lekarz psychiatra. Podczas studiów i po studiach pracowała w zakładzie w Kocborowie, który funkcjonuje do dziś pod nazwą Szpital dla Nerwowo i Psychicznie Chorych im. Stanisława Kryzana. Przez wiele lat zajmowała się problemami związanymi z AIDS.

– *Nie pamiętam twarzy ojca* – wspominała – *tylko jego głos, zapach i wieczne pióro w kieszeni marynarki.*

***

Matkę doktora Kopicza, a moją prababcię, Agnieszkę z Danilewiczów poznałam, gdy byłam w szkole podstawowej. Miała wtedy ponad 90 lat i mieszkała w Lidzbarku Welskim. Władała biegle kilkoma językami. Mówiła, że czyta prasę przesyłaną przez rodzinę z Londynu, żeby dowiedzieć się prawdy o tym, co dzieje się na świecie.

Dotąd widzę jej uśmiech i twarz okoloną, białymi jak mleko francuskimi lokami. Zapamiętałam ją jako ciepłą i serdeczną. Nie miałam wtedy pojęcia ile bólu mogą kryć jej głębokie oczy. Straciła przecież dwoje dzieci, syna Józefa, w domu zwanego Juchem i przedwcześnie zmarłą córkę Annę Sokołowską, moją babcię, której nigdy nie poznałam.



Kocborowo dziś, główny budynek dyrekcji.



Ulica w Starogardzie Gdańskim, fot. Andrzej Sokołowski.

Na podstawie: *T. Nasierowski, Zagłada osób z zaburzeniami psychicznymi w okupowanej Polsce. Początek ludobójstwa, Neriton, Warszawa 2008; Zagłada chorych psychicznie w Polsce 1939-1945, prac. zbior. pod red. Z. Jaroszewskiego, PWN, Warszawa 1993; J. Milewski, Stulecie szpitala w Kocborowie, Starogard Gdański 1995; K. Szwentnerowa, Zbrodnia na Via Mercatorum, Wydawnictwo Morskie, Gdynia 1958; Agata Gut, Eutanazja – ukryte ludobójstwo pacjentów szpitali psychiatrycznych w Kraju Warty i na Pomorzu w latach 1939-1945, strona internetowa Instytutu Pamięci Narodowej;*

wspomnienia doktor Ewy Kopicz-Kamińskiej.

Ewa Kopicz-Kamińska, córka Józefa Kopicza, wybitny lekarz psychiatra.



Ewa Kopicz-Kamińska

Urodziła się 16 maja 1934 roku w Kocborowie. Przez pięć lat miała szczęśliwe dzieciństwo u boku mamy Haliny, taty Józefa i starszego brata Adama. Wojna zmieniła wszystko i zadecydowała o jej dalszych wyborach.

Śmierć ojca i inne trudne przeżycia wojenne, nie mogły pozostać bez wpływu na jej poglądy i życiowe wybory. Mimo, że jak wspominała, nie pamiętała ojca, to jednak poszła w jego ślady, ukończyła tę samą uczelnię medyczną w Poznaniu i została lekarzem psychiatrą.

Od 1961 roku do emerytury związana była z Instytutem Psychiatrii i Neurologii w Tworkach. Przez większość życia zajmowała się problemami uzależnień, pisząc artykuły do pism naukowych i pomagając chorym uporać się z nałogami. Wiele lat współpracowała z ośrodkiem prowadzonym przez księdza Arkadiusza Nowaka dla osób uzależnionych w Anielinie k. Otwocka. Od początku lat 90-tych doszła praca z nosicielami wirusa HIV i z chorymi na AIDS, która wymagała wielkiej odwagi. Choroba nie była znana, lekarze nie chcieli mieć kontaktu z chorymi w obawie przed zarażeniem. Doktor Ewa Kopicz wspominała, że ludzie omijali ją na ulicy i bali się z nią rozmawiać. A przecież chorzy cierpieli, żyli w ciągłym strachu, byli napiętnowani przez społeczeństwo, często wyrzucani z domów rodzinnych, tułali się na ulicy.

Ewa Kopicz-Kamińska uważała, że ludzie pozbawieni nadziei, zagubieni, odtrąceni przez bliskich, stojący w obliczu śmierci, zasługują na szczególną uwagę. Dlatego współpracowała z wieloma ośrodkami oferującymi im pomoc. Będąc na emeryturze podjęła pracę w Wojewódzkim Szpitalu Zakaźnym w Warszawie,

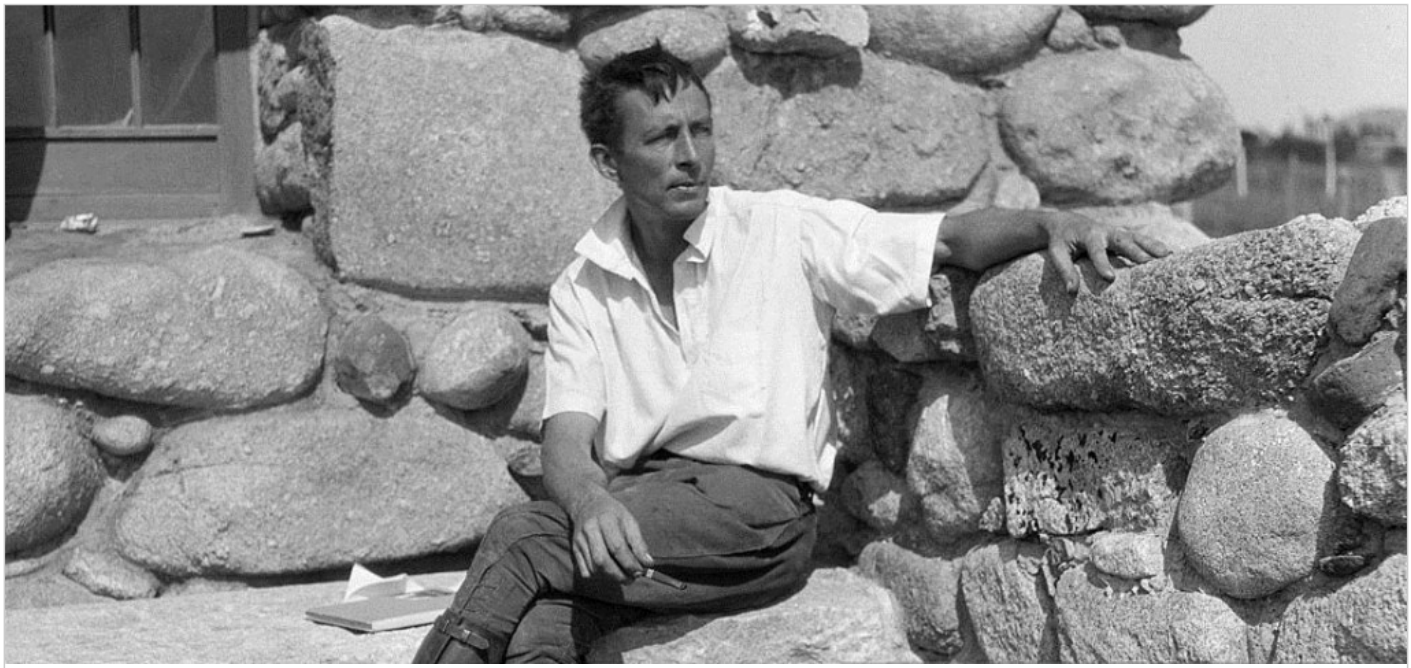
na oddziale dla pacjentów z wirusem HIV i chorych na AIDS, pomagała chorym z Domu Ciepła w Rembertowie oraz z Hospicjum, a od 1999 roku aż do końca życia była związana z Polską Fundacją Humanitarną „Res Humanae”.

Wysiłek Ewy Kopicz-Kamińskiej został zauważony. W 1998 roku otrzymała honorowe wyróżnienie – Czerwoną Kokardkę z okazji Światowego Dnia AIDS, a w 2003 roku, Prezydent Rzeczpospolitej Polskiej wręczył jej Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski za wybitne zasługi w działalności na rzecz przeciwdziałaniu narkomanii. Zmarła 2 września 2014 roku w Warszawie.

Jej życie, praca i wielki humanitaryzm były największym hołdem oddanym ojcu.

Na zachodzie

Zachodu



Robinson Jeffers, fot Getty Images.

Ryszard Sawicki

Najważniejszymi postaciami utworów Jeffersa był Ocean i Wiatr, nie ludzie.

> Kiedy wspominałem stare deszcze,
>
> bieg chmur i żelazny wiatr,

wtedy drżały drzewa.

Wzywałem jednego z wielkich tancerzy

błąkających się tutaj,

tych, którzy przybywają znad Aleutów

i znad otwartego Pacyfiku

tocząc się w kierunku przeciwnym

do ruchu słońca,

tych, którzy celebrują siłę

w wirze tańca

i tańcząc wpadają na stały ląd.

Przyglądałem się jak stopy tancerza

burzą wodę i jak ocean burzy się pianą za Lobos;

żelazny wiatr uderzył od wzgórz.

Od wzgórz, których czarne sylwetki zstępujące stromo w roziskrzoną powierzchnię oceanu. Od skał przeciętych smugami mgły. To mgła, którą wiatr oderwał od rozbitych fal i uniósł w górę. A unosząc mgłę uniósł i skały odrywając je od podłoża. Czerń i biel. Błękit nieba rozmyty w strefie, gdzie teraz króluje słońce. Zieleń wody zasłonięta przez pianę. W nocy, przy świetle księżyca, jeszcze więcej czerni, a biel chyba bardziej biała niż w dzień, bo widoczna wśród pogłębionej czerni. I nieustanny ruch fal biegnących znikąd, rozpraszających się w nicości. Wiatr, który nadchodzi, zrzuca kamienie z powrotem w ocean. *To wybrzeże prosi się o tragedię jak każdy piękny krajobraz.*

To górskie wybrzeże jest realne bo sięga daleko w przeszłość i przyszłość; jest częścią ponadczasowej doskonałości rzeczy – pisał Jeffers. A przecież mogło by się wydać nierealne, tak jest wspaniałe, tak ponad-ludzkie. Tak nieludzki jest wiatr, który uderza w ląd, niesie burzę. Burzę, przeciwstawioną w poezji Jeffersa żywiołowi ognia, który pustoszył wysuszone wzgórza. Burzy, którą poeta nazywał *dobrą istotą*, bo niosła deszcz. Taki deszcz jak ten, który powodował życiodajne powodzie w dolinie Nilu, albo przynosił życie obszarom ziemi w dorzeczu Gangesu. Lato, spokojny upał, bezruch powietrza, stanowiły zagrożenie dla życia tak jak pewnego rodzaju pokój może stanowić większe zagrożenie od wojny.

Lato i dni nużąco-złote są bardziej niszczące, bo powodują iż

trawy stają się *trędowate* i nawet las może zapaść w stan choroby. W wierszu, który miał być jego napisem nagrobnym, Jeffers mówił trochę bardziej optymistycznie. Adresował ten wiersz do czytelników, kimkolwiek by byli, więc wierzył, że przetrwają czytelnicy.

> Podziwiałem piękno wtedy gdy byłem człowiekiem, teraz jestem częścią piękna. Wędruję w powietrzu będąc, ogólnie, gazem i wiatrem i tym co krąży w oceanie. Dotykam ciebie i Azji w tej samej chwili; zanurzam rękę we wschodzie słońca i w iskrzeniu trawy. Zostawiłem światło aby się sączyło z grobu do ziemi na dowód swojej miłości.



Robinson Jeffers, fot Getty Images.

Ów kosmiczny wymiar egzystencji wyznawany i proponowany przez Jeffersa pozwalał poecie na taki dialog z oceanem. *Jest we mnie starsze, twardsze i bardziej bezstronne oko*, mówił do oceanu, *niż to, które patrzyło na ciebie jak wypełniałeś swe dno zagęszczając ciężką mgłę i określając w dół swe granice, jedząc skałę i zamieniając się na miejsca z kontynentami*.

Taki sposób ujmowania krajobrazów, jakby z lotu ptaka, właściwy był już poezji sanskryckiej, obecny w poezji Kalidasy, który żył za panowania Czandra-Gupty Drugiego (375-455). W poemacie „Narodziny boga wojny”, który można określić jako poemat religijny, bo wszystkimi jego bohaterami są istoty nadludzkie, występuje boski Himalaja, podobny do Oceanu lub Tancerza-Wiatru Jeffersa.

> W części północnej znajduje się boski Himalaja,
>
> władca gór,
>
> sięgający od wschodniego do zachodniego Oceanu,
>
> niewzruszony jak pręt do mierzenia ziemi…
>
> Tam półbogowie przebywają w cieniu chmur,
>
> przepływających nad łańcuchem górskich wierzchołków,
>
> lecz gdy wygoni ich deszcz,
>
> uciekają ku słonecznym szczytom…
>
> Puste trzciny napełniają się wiatrem,

> który wydziera się z grot,
>
> jakby chciał podawać ton
>
> dla pieśni niebiańskich minstreli…

Na taki spokojny opis wojny można było sobie pozwolić tylko dawno temu.

Dziś, kiedy spokój ten utracono, trzeba zachować świadomość tego, że życie ludzkości jest jak życie człowieka, *trzepot od jednej ciemności do drugiej*. I tego, że nasza rasa, *o kruchych, obnażonych nerwach* stoi u wrót nowego, nad brzegiem jeszcze jednego oceanu. By dalej mogła płynąć, musi nauczyć się zanurzać w mocne fale, poddawać ożywczym wiatrom. Skądś trzeba czerpać siłę potrzebną w dalszej podróży, a skądże jeśli nie z piękna natury, które, chociaż gwałtowne i niekiedy straszne, przecież może natchnąć odwagą by żyć… mimo wszystko.

Aby przetrwać swój czas, trzeba *być wolnym od więzów tkanych własnymi rękami*. Trzeba odnaleźć moc, która jest w źródle, w tym jedynym źródle, które jest w każdym człowieku… nawet jeśli zabraknie go w ludziach. I jest w ludziach, jeśli go zabraknie w człowieku. A zawsze jest na dnie oceanu.

Szczęśliwe to były czasy, można by powiedzieć, kiedy o wojnie pisano w taki spokojny sposób jak to robił Kalidasa. Ale i Kalidasa wpadał w tony bardziej dramatyczne, podobne do tonów Jeffersa. Wtedy obydwaj, hinduski i kalifornijski poeta, tworzyli obrazy o atmosferze obrazów Gustawa Dore. Kalidasa zrobił to na przykład wtedy kiedy opisywał walkę z demonem Taraką.

> Słońce spowiło się upiorną szatą
>
> wielkich i strasznych, splecionych ze sobą węży,
>
> jakby chciało wyrazić swą radość,
>
> że zaraz legnie demon, jego wróg.
>
> A tuż za kręgiem gorejącym słońca
>
> szakale wyły jednym ostrym głosem,
>
> jakby chciały już rzucić się na krew
>
> króla zastępów walczących z wrogami.
>
> I już sypią się z nieba

> strumienie popiołu
>
> pełne węgli płonących, z krwią i kośćmi ludzkimi zmieszane,
>
> a rozżarzone krańce nieba, zasnute dymem,
>
> przybierają szarą barwę karku osła.



Robinson Jeffers i jego dom w Carmel na wybrzeżu Kalifornii.

Echa tych sanskryckich wierszy można znaleźć u Jeffersa, kiedy mówi o *hałasie, który czyni słońce", a także o „wojnie, łamiącej*

wszelkie obietnice, zabijającej tych, których uwalnia”. I o sztormie, który „nadchodzi, kiedy lwy polują wśród nocy pociętej piorunami.

> Nadejdzie, nakarmiony
>
> pokojem,
>
> kiedy skorupa jeszcze wytrzymuje:
>
> do każdego z nas
>
> trochę spustoszenia; ukłucie żądzy lub kropla przerażenia:
>
> więc lwy polują w umysłach umierających ludzi: sztorm jest
>
> dobry, jest dobrą, dobrą istotą,
>
> jest łagodną przemocą, w gardle tętni ból i żal.

Sztorm nakarmiony pokojem… Jaki to pokój, którym karmią się burze? Jakie burze biorą swój początek, czerpią energię z pokoju?

Lermontow znał takie burze. Mówił o człowieku, który szuka

burzy bo sądzi, że w niej znajdzie pokój. W burzy jest pokój, którego nie ma w rozszalałych duszach ludzkich. Nawet burza wydaje się spokojna w porównaniu z niepokojem, który ogarnąć potrafi dusze ludzkie.

To burza w przyrodzie jest istotą dobrą, nie ta w człowieku. W naturalnej burzy tkwi siła zdolna ugasić ogień płonący w ludziach, pożogę wojny, opętanie zniszczeniem, które czai się w narzuconym pokoju, pokoju niszczącej przemocy, pokoju, który jest w istocie samym okiem cyklonu. Pokój taki to ucisk wymuszający ostateczną uległość, bezbronność wobec najgorszych zbrodni.

Poezja w ujęciu Jeffersa jest właśnie dobrym przesileniem jakie następuje z burzą. Jego poezja to burza niosąca dobre, przedwieczne prawdy. To z powodu uderzenia gromu psy nie muszą już wyć *ku strasznemu słońcu*. Grom je ucisza. Ucisza też serca ludzkie.

Po burzy pełnej wyładowań atmosferycznych nadchodzi noc, którą opisuje Jeffers. Usiana czystymi gwiazdami, *żarliwie spokojna*. Noc, która wybacza *blask lampy na mojej wieży*. Wszystkie światła nocy *myślą milczenie*. Pierwotne i nieporuszone milczenie.

Trzeba więc myśleć, że *skała z głębi wód naszej duszy* przedarła

powierzchnię. Z tej skały nawet i prorokować można to proroctwo, które pamięta mrok ciemności, ma w sobie urok ciszy. Ciszy, tej samej, którą znała ziemia, nad którą nie śpiewały jeszcze ptaki. Ciemności, tej samej, którą znała dusza ludzka, gdy nie było jeszcze ziemi. Gdy żadna machina nie wprawiała jeszcze w ruch sfer niebieskich.

Nim ptaki znowu pojawią się nad skałami Point Lobos, nad Oceanem Spokojnym, niech trwa ta cisza wokół nas, rozkładających ręce od Aleutów po Ziemię Ognistą. Ramiona człowieka, rozciągnięte szeroko, niech obejmują tę ciszę, tę przestrzeń nad Oceanem. I całą Ziemię. Od brzegu Aleutów po brzegi Japonii.



Robinson Jeffers, 1940 r., fot. John-Stanton.

Kiedy ptaki nadciągną znowu znad wód, niech zakwilą wieloma głosami. A myśli ludzkie niech im odpowiedzą też na wiele głosów, wieloma językami, wieloma wierszami. Bo mnogość myśli jest potrzebna duszy ludzkiej. Mnogość takich kwilących myśli, gdy nastaje nowy świt nad skałami Wielkiego Południa. Potrzebne są duszy ludzkiej *dźwięcznie hałasujące sokoły* i mewy i kormorany. Nad skałami i piaszczystymi brzegami światów,

które się właśnie wyłaniają z tajemnych wód. Myśli takie jak ta o ludziach w kutrach rybackich, płynących na skraju mgły. O ludziach w łodziach, które *okrążyły Półwysep płynąc ku bojom w porcie Monterey*, i które wydają się płynąć *wprost z baśni, między skałami a kłębami oparów*. I o ludziach patrzących na powracających z połowu rybaków. O nas, którzy powinniśmy wiedzieć, że *wszystkie sztuki gasną wobec istotnej rzeczywistości stworzeń zajętych swoimi sprawami pośród równie poważnych żywiołów natury*. Lub inna myśl. O tym, że kiedy nasi ojcowie przeszli w bród pierwszą rzekę Azji i przekroczyli tym samym pierwszą granicę świata oraz kiedy Atlantyk huśtał angielski dąb a żeglarz nie wiedział, że czeka go jeszcze jeden ocean, *już wtedy piły ze źródła piękna oczy orłów*. A morza rozpościerały się od blasku do blasku, od świtu do świtu.

Spłukane deszczem, poruszone gromem, łagodne oko błękitu, patrzyło nie tylko na bramy opuszczonych grodów lecz i na ocean, w którym nie było jeszcze ryb. To samo oko błękitu patrzy na ocean, po którym snują się teraz łodzie rybackie. Jest ono zawsze takie samo, byle nie spowijać go w upiorne szaty, jak to czynią niekiedy ludzie.

Karol Groll. Zapomniany polski wynalazca współczesnej harfy.

Anna Olek

O historii harfy można opowiadać bardzo długo. Minęły tysiące lat zanim łuk z kilkoma cięciwami stał się instrumentem poruszającym nasze zmysły swoim pięknem i brzmieniem. A mógł być zapomniany, kiedy w XV wieku pojawiły się klawesyny, a w XVII wieku fortepiany. Jeszcze wtedy możliwości chromatyczne harfy były znikome. Lewa ręka grającego zmieniała haczykiem wysokość struny tylko o pół tonu. Decydującym dla rozwoju harfy był wiek XVIII i początek XIX. Już w 1697 roku Jakob Hochbrucker zrewolucjonizował system

budując harfę pedałową, w której zmiany wysokości dźwięku o pół tonu powierzył nogom. To wystarczyło, aby harfa ponownie stała się popularna. Tworzono wtedy przepiękne instrumenty, które zdobiły salony królów i arystokracji. Przez całe XVIII stulecie trwały prace nad ulepszaniem mechanizmu. W wynalazkach prześcigały się manufaktury Jean Henri Naderman, Georges Cousineau, Pleyel, Antonie i Pierre Chaillot, Louvet i Sebastiana Erarda.

I tu do historii harfy wkracza polski rytownik, ilustrator, malarz, inżynier i wynalazca z Warszawy – Karol Groll (w innej pisowni Gröll, Groll i Groell).

Pochodził ze sławnej i wielce zasłużonej dla polskiej kultury rodziny Michała Grölla – księgarza niemieckiego, który przeniósł się w 1759 roku z Drezna do Warszawy, zakładając na Starym Mariawilu (dziś stoi tam Teatr Wielki) księgarnię a potem w 1778 drukarnię czynną do roku 1806. Michał Groll podpisywał się tytułem „Nadwornego komisarza i bibliopola JKM ci na Zamku mieszkającego". To u Grollów drukowano mowy sejmowe, dokumenty królewskie i najznamienitsze pozycje polskiej i światowej literatury. Własnym sumptem Michał Gröll wydawał też przez osiem lat pismo literackie „Zabawy Przyjemne i Pożyteczne, z różnych autorów zebrane". Tu ukazywały się dzieła Krasickiego, Naruszewicza, Trembeckiego, Kniaźnina, Niemcewicza jak również poezje i mowy sejmowe Michała

Kazimierza Ogińskiego (do którego jeszcze powrócimy). Michał Gröll i Jego dzieło zasługują na osobną uwagę. My jednak zajmiemy się synem.

Bilet pięciogroszowy, wydrukowany w drukarni Grollów.

Karol Gröll urodził się w 1770 roku w Warszawie. Matką Karola i Jego trzech sióstr była Johanna Sophie Schüller. Po Jej śmierci (1776r.) drugą żoną M. Grölla została Zofia Jacobson ze znanej rodziny jubilerów warszawskich.

Widząc talent malarski u syna, a także znając potrzeby drukarni, ojciec kształcił Karola na malarza, rysownika i na sztycharza: najpierw u Bogumiła Schiffera – uznanego malarza na Dworze Alojzego hrabiego Brülla, a potem w Dreźnie i przez cztery lata w Berlinie u światowej sławy sztycharza – dyrektora Akademii Sztuk Pięknych – Daniela Mikołaja Chodowieckiego.

Po powrocie do kraju w 1791 roku Karol przez dwanaście lat pracował dla ojca ozdabiając sztychami wydawane książki. Jego projektu jest m.in. pierwszy polski banknot – Bilet Skarbowy z 1794 roku wydany w drukarni Gröllów.

Niezwykły jest też wizerunek kobiety na barykadzie (1791) według rysunku Smuglewicza, który stał się symbolem Sejmu Czteroletniego i pieśni „Witaj Majowa Jutrzenko”.



Alegoria Wolności, rycina Karola Michała Grölla wg wzoru Franciszka Smuglewicza, 1791; Biblioteka Narodowa.

Podobnie K. Groll ujął trzy lata później postać Napoleona przedstawiającego jeszcze wtedy generała Bonaparte w pozie, którą w 1810 roku powtórzył Eugene Delacroix w sławnym obrazie „Wolność wiodąca lud na barykady”.

Dzięki pozycji ojca, ale i własnym talentom, Karol Groll stał się postacią sławną na królewskim dworze i w warszawskich domach arystokratów. Kontaktował się z plejadę polskich pisarzy i malarzy. Prawdopodobnie w pałacu księżnej Aleksandry Ogińskiej zaprzyjaźnił się z wybitnym malarzem Aleksandrem Orłowskim, który na prośbę przyjaciela, tuż przed swoim wyjazdem do Petersburga sporządził portret ośmiogłowy wybitnych artystów ówczesnej Warszawy. Tym sposobem posiadamy wizerunek trzydziestodwuletniego Karola Grolla z roku 1802.



Szkic rysunkowy Aleksandra Orłowskiego, wykonany w roku 1802. W kolejności od lewej: 1. Franciszek Gugenmus – nadworny zegarmistrz króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, 2. KAROL GROLL, 3. Manarelli – profesor śpiewu i gitarzysta, 4. Aleksander Orłowski – malarz, 5. Włoch – organizator loterii, 6. Bartłomiej Falino – sztycharz, 7. Kazimierz Woźniakowski – malarz (autor obrazu „Uchwalenie Konstytucji 3 Maja"), 8. Henryk Ittar – Sycylijczyk – budowniczy Arkadii w Nieborowie.

Karol Groll znał również księcia Michała Kazimierza Ogińskiego. I tu zaczyna się przygoda młodego artysty i inżyniera z harfą. Książę Ogiński był nie tylko jednym z najbogatszych Polaków w tamtych czasach, politykiem (kandydatem na tron polski), hetmanem, pisarzem i poetą, mecenasem sztuki i budowniczym kanału łączącego dwa morza. Był również kompozytorem i muzykiem grającym na skrzypcach, klarnecie i na HARFIE. To właśnie on stworzył na prośbę Diderota hasło „Harfa" dla Wielkiej Encyklopedii Francuskiej. Ten wirtuoz harfy pracował usilnie nad poprawą nieprzystającego do wymogów epoki mechanizmu przestrajającego struny. Jest pewne, że w latach 90-tych XVIII stulecia zbudował razem z Karolem Grollem harfę o nowoczesnym rozwiązaniu, które potem zostało opatentowane w Anglii (być może to właśnie ten instrument sprzedano w Warszawie w pierwszej dekadzie XIX wieku po śmierci księcia w

1800 r.).

Niestety, radosny czas dla Polski i dla Karola Grolla kończył się. Bezpotomnie w 1798 roku zmarła Jego ukochana żona Johanna Magdalena (siostra fabrykanta dywanów na Solcu, Gejsmera). W tym też roku zmarł ojciec, a księgarnia i drukarnia podupadły. Polska została podzielona przez trzech zaborców, a król abdykował i uciekł do Rosji.

Karol Groll wyjechał w 1804 roku do Anglii. Aby utrzymać się w Londynie rozpoczął badania chemiczne farb tworząc specjalną farbę do porcelany. Za ten patent otrzymał 1000 czerwonych polskich złotych. Majątek przyniosło mu jednak opatentowanie systemu przestrajającego dwukrotnie każdą strunę harfy. W artykule z 2009 roku w „Harp Spectrum" Mike Baldwin przedstawił swoje odkrycia w ustaleniu prawdziwego twórcy systemu dwustopniowego przestrajania strun harfy za pomocą siedmiu pedałów. Otóż w 1807 roku patent na przestrajanie dwustopniowe strun harfy zarejestrował (patent numer 3059) Charles Groll z Leicester Fields, Parafia Sait Martin, City of Westminster. Przedstawione są w nim rysunki i detale systemu, który tak naprawdę używany jest do dziś we współczesnych harfach. Sebastian Erard poznał się od razu na genialnym rozwiązaniu i za cenę 10 000 czerwonych polskich złotych (według innych źródeł było to 30 000) odkupił patent od Karola Grolla. Patent Erarda (który dał mu miano twórcy genialnego

systemu) pochodzi z 1808 roku i przedstawia takie samo rozwiązanie skracania strun. Polski ślad rozwoju budowy harfy został zatarty, a fabryka harf i fortepianów Sebastiana Erarda zdeklasowała konkurencję. W samym tylko XIX wieku w Paryżu i w Londynie wyprodukowano 6000 harf Erarda. Instrument zyskał pełną chromatykę, a otrzymanie z każdej struny trzech tonów powiększyło ilość dźwięków do 138. Możliwość grania synonimów zaowocowała przepięknymi glissandami przynależnymi tylko harfie.

30 tysięcy złotych polskich lub nawet 10 tysięcy było sumą ogromną, za którą w tamtych czasach można było zakupić trzy wsie, wielki folwark, lub nawet kamieniczkę na Starym Mieście w Warszawie. Karolowi Grollowi pozostała u współczesnych sława budowniczego „pedałów u harfy" i niezły majątek. Tak więc tu kończy się przygoda z harfą naszego bohatera. Ale to nie koniec opowieści. W owym czasie Karol Groll stał się bardzo majętnym człowiekiem. Po powrocie do Polski działał jako malarz, sztycharz i inwestor. Dla brata żony Gejsmera opracowywał wzory i desenie dywanów. Gościł w Puławach u Czartoryskich. U Lubomirskich w Wilanowie poznał francuskiego emigranta Filipa de Girard, z którym wspólnie pracował nad ulepszaniem maszyn przędzalniczych zainstalowanych później w Żyrardowie.



„Stanisław August z Kartą Konstytucji 3 maja” Karola Michała Grölla, odbitka graficzna z 1792 roku, źródło: zbiory cyfrowe Muzeum Narodowego w Warszawie.

Przyjęty 8 stycznia 1815 roku do Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk przez lata publikował artykuły ekonomiczne m. in. o angielskiej bankowości. W 1818 roku znowu wyjechał do Francji, Anglii i Holandii. Przyjaźnił się z Muzio di Clementi,

Woelflem, panią Catalani i wieloma innymi. Kolejny pobyt w Londynie zaowocował budową fabryki produkującej narzędzia, które K. Groll sam ulepszał. Anglicy nazywali Go „polskim spekulantem" i bynajmniej słowo to miało inne znaczenie niż dzisiaj. Dla nas jest ważne, że przez całe życie czuł się Polakiem i do Polski wracał. W 1839 roku otrzymał od Rady Administracyjnej Królestwa Polskiego na lat 15 zgodę na budowanie i używanie machiny do wyrabiania cegieł, dachówek i ozdób architektonicznych własnego pomysłu. Ostatnim patentem , który należał się Grollowi razem z F. de Girard były maszyny przędzalnicze gerardowskie i Tremolorhon (?).

Po raz ostatni wrócił do Warszawy w 1834 roku i przez 23 lata, aż do śmierci wiódł żywot samotnika i dziwaka. Możemy się domyślać powodów takiego zachowania, ale to temat na osobny rozdział o walce o wolność Polski. Jego motto życiowe teraz brzmiało „ …iż trzeba spokojnie i niepostrzeżenie dokończyć swej wędrówki na tym padole płaczu…"

Zamieszkał w dwóch pokoikach na parterze przy ulicy Nowolipki 2409 w kamienicy Michniewskich. Artykuły do „Gazety Warszawskiej" podpisywał tylko literką *X*. Zmarł 21 lipca 1857 roku na zawał serca.

Na cmentarz Ewangelicko-Augsburski przy ulicy Młynarskiej w Warszawie odprowadziła go siostra a siostrzenica ufundowała

piękny nagrobek z inskrypcją tak brzmiącą:

GRÓB MICHAŁA GROELLA TYPOGRAFA +15 WRZEŚNIA 1798 R.
I JEGO RODZINY
D. 24 LIPCA 1857 R. UMARŁ KAROL GROELL
ARTYSTA MALARZ I RYTOWNIK CZŁONEK TOWARZYSTWA WARSZAWSKIEGO PRZYJACIÓŁ NAUK ŻYŁ LAT 87.
HENRYKA Z GROELLÓW SCHENERMARK
UMARŁA DNIA 30 KWIETNIA 1859 R. ŻYŁA LAT 85
PAMIĄTKĘ TĘ MATCE I WUJCIOWI I DZIECIOM JAKIE ŻYŁY CÓRKA

Amerykańskie podróże Heleny

Modrzejewskiej



Arden w Kalifornii, dom Heleny Modrzejewskiej i Karola Chłapowskiego.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

> …cudownie mi się przedstawiał o zachodzie słońca, gdyśmy się doń na statku zbliżali. Byłam rzeczywiście w ekstazie, porównywałam go ze wszystkimi znanymi mi z widzenia i z opisów miastami i nie znalazłam równego mu w pamięci, tak nic jego powierzchowność nie ma w sobie europejskiego –

> zadecydowałam nareszcie, że tak musiała wyglądać Kartagina lub Babilon, ze swymi kolorowymi gmachami, złoconymi sklepieniami, łukami etc. etc. [1]

– opisywała Helena Modrzejewska swoje oczarowanie linią brzegową Nowego Jorku, gdy statek parowy, którym wybrała się wraz z rodziną w podróż życia, dopływał do portu.

Helenie Modrzejewskiej podróżowanie nie było obce. Wymagał tego zawód aktorki. Najpierw były wyjazdy z Bochni do Nowego Sącza, potem dalej do Rzeszowa i Przemyśla, wozem z płócienną budą osłaniającą od słońca, deszczu i wiatru, z sześcioma osobami razem z woźnicą, wszystkimi akcesoriami scenicznymi, papierowymi dekoracjami, kurtyną z perkalu, dwiema tabliczkami *Teatr* i *Kassa* oraz całą garderobą głównej aktorki, którą były *dwie suknie materialne: biała i czarna*[2]. Po czasie, jako uwielbiana krakowska aktorka, wyjeżdżała na gościnne występy z zespołem teatralnym, już w bardziej komfortowych warunkach. Ciągle były to jednak występy w Polsce. Marzenia o dalekich, zamorskich krajach pojawiły się dopiero w Warszawie, gdzie zamieszkała wraz z mężem, Karolem Chłapowskim, po otrzymaniu kontraktu Teatrów Rządowych. Modrzejewska wszędzie zdobywała uznanie i aplauz, tak na scenie, jak i w życiu towarzyskim. U Chłapowskich odbywały się słynne *wtorki* artystyczne, na których bywali: Moniuszko, Sienkiewicz,

Chmielowski, Witkiewicz, Chełmoński. Wszyscy oni wnosili do domu aktorki pewien koloryt i artystyczną atmosferę. Myśli ich zaczęły wybiegać poza Warszawę, rozmawiano o dalekich podróżach, przyglądano się wielkiej mapie, która była stałym już wyposażeniem salonu. Nie wiadomo, kto pierwszy wpadł na pomysł egzotycznego wyjazdu do dalekiej Kalifornii. Może Juliusz Sypniewski, jedyny *rolnik* wśród artystów, przyjaciel Karola Chłapowskiego z celi[3]. Może Henryk Sienkiewicz, z niezwykle rozpaloną wyobraźnią i żyłką poszukiwacza przygód. W każdym razie od tej chwili już o niczym innym nie mówiono. Na ostateczną decyzję wpłynął jeszcze jeden fakt. W styczniu 1876 r. weszła na afisz sztuka Lubowskiego „Nietoperze". Gdy w pewnym momencie spektaklu, na którym byli obecni państwo Chłapowscy, aktor ucharakteryzowany na męża artystki powiedział ze sceny: *A ja sobie żyję z kapitału mojej najdroższej żoneczki*, wszyscy wiedzieli o kogo chodzi. U ziemianina bez majątku, Karola Bodzenty Chłapowskiego, zaczęło wtedy kiełkować marzenie o wielkiej, przynoszącej duży dochód kalifornijskiej farmie[4]. Helena Modrzejewska też chciała, aby mąż mógł poczuć się gospodarzem na włościach. Poza tym kusiły ją nowe wyzwania. W Polsce osiągnęła już przecież wszystko, co można było w tym czasie osiągnąć.

W lutym 1876 r. do Kalifornii pojechali Henryk Sienkiewicz i Juliusz Sypniewski, aby znaleźć odpowiednie miejsce do osiedlenia się dla nowych imigrantów. Dom niedaleko Anaheim

wydawał się być odpowiedni. Na wybór miejsca miał też wpływ język, Większość członków grupy, która zamierzała wyemigrować nie znała języka angielskiego, za to znakomicie władali niemieckim. Sąsiedztwo niemieckich osadników miało więc znaczenie. – *Sypniewski wrócił z entuzjastyczną relacją na temat piękności Kalifornii* – pisała Modrzejewska w swoim pamiętniku. – *Zgodnie z jego opinią, raj był niczym w porównaniu z tym krajem zielonych łąk, niebieskich zboczy górskich i kwitnących drzew pomarańczowych****[5]****.*

Zaczęto więc przygotowania do tak dalekiej podróży w nieznane. – *Zakupiło się wiele, bardzo wiele ekwipunku – ciężkie dery, teleskopy, mosiężne zawiasy do drzwi, strzelby etc.; dwa duże pudła lekarstw i pojemną szkatułę instrumentów chirurgicznych, a przede wszystkim sześć rewolwerów! Nawet ja zostałam obdarowana jednym z nich, sztuka bardzo ozdobna, wykładana masą perłową. Nasze umeblowanie zostało wystawione na sprzedaż, ale książki, obrazy i osobistą garderobę pakowało się starannie do podróży, aby nam to wszystko towarzyszyło w wyprawie do dzikich okolic, jako niezbędne artykuły pierwszej potrzeby w „prostym życiu”****[6]****.*



Helena Modrzejewska w Nowym Jorku, fot. zbiory własne.

13 lipca 1876 roku aktorka wraz mężem, synem, przyjaciółmi i ich dziećmi, dziewczyną do pomocy oraz ogromną ilością kufrów,

waliz i pudeł wyruszyła w podróż życia, wsiadając na niemiecki parowiec „Donau”, aby rozpocząć zupełnie nowy rozdział. Po 10-cio dniowej podróży przez Ocean zatrzymali się na kilka tygodni w Nowym Jorku. Niestety, czar prysł, wielka amerykańska metropolia nie wydawała się już tak imponująca. – *Dostawszy się do miasta, nic z tego wszystkiego, co mi się z dala tak pięknym wydawało nie znalazłam* – dzieliła się aktorka swoimi odczuciami – *natomiast dużo brudu, miliony omnibusów, kolei żelaznych – a szyldów i anonsów takie mnóstwo, że czasem koloru domu pod nimi dopatrzeć się nie można. Mania szyldów dochodzi tu do absurdu.* [7]

Następnym etapem była Kalifornia. Postanowili płynąć statkiem wzdłuż północnej Ameryki, aby poznać nowy kontynent. Wypłynęli z Nowego Jorku do Panamy. Po drodze jednak statek został uszkodzony, zostali więc odholowani z powrotem do Nowego Jorku, aby przesiąść się na inny statek. Nie było jeszcze wówczas Kanału Panamskiego, który powstał dopiero w latach 1904-1914. Trzeba się było więc przesiąść na pociąg, przejechać Panamę i wsiąść na kolejny statek, żeby dostać się do San Francisco. Nowi osadnicy przybyli więc na miejsce dopiero po wielotygodniowej podróży. Kalifornijski „raj na ziemi”, jak go przedstawiali Sienkiewicz i Sypniewski, rozczarował ich. Na odbiór okolicy wpłynęła zapewne też pora roku. Było gorąco i sucho i nie tak zielono, jak wiosną, po porze deszczowej. – *Wynajęty dom wydał nam się za mały* – pisała Modrzejewska w

pamiętnikach. – *Dwie sypialnie, jadalnia, salon z pianinem i kanapą. Rzucająca się w oczy banalność tego wszystkiego mogła odebrać otuchę, a ogródek przed domem z jego cyprysami, przystrzyżoną trawką i bezładnymi klombami kwiatów przypominał biednie utrzymany cmentarzyk. Co jedynie ratowało sytuację, to otwarty widok na góry – od północy na Sierra Madre, od wschodu na Santa Ana Range. Ale ja się rozczarowałam ogromnie i omal nie wykrzyknęłam – Och! Dlaczego nie zamieszkamy w namiotach.* ***[8]***

Takie były początki na nowej ziemi. Wtedy zapewne Modrzejewska nie przypuszczała, jak trwały ślad tu zostawi i jak wielką zdobędzie sławę. Nie myślała, że spojrzy na siebie i swój kraj z zupełnie innej perspektywy, nabierze dystansu, rozwinie skrzydła. Kosztowało ją to ogrom pracy i wysiłku. Jedną z głównych przyczyn jej amerykańskiego sukcesu, była niebywała ilość podróży. Stała się przez to znana i kochana na całym amerykańskim kontynencie. Dotarła wszędzie gdzie ją zaproszono, grała w wielkich, prestiżowych salach, takich jak Metropolitan Opera w Nowym Jorku, w znanych teatrach w dużych miastach, ale i w małych, prowincjonalnych teatrzykach, daleko od centrów kulturowych, do których niewielu aktorów docierało. Objechała wszystkie stany w USA i wiele prowincji w Kanadzie i to po kilka razy. W sumie odbyła XXIII tury. Oprócz wielkiego talentu, urody i niezwykłej pracowitości, na sukces Modrzejewskiej miał wpływ rozwój kolei, która gęsto pokrywała

swoją siecią ogromne obszary USA. Artystka na pewno nie chciałaby wrócić do początków swojej kariery i podróżować od miasta do miasta wozem z płócienną budą, zwanym w Ameryce „conestoga". A takimi wozami zdobywano „Dziki Zachód". Jechano po wyboistych drogach, z całymi rodzinami i bagażami, bez możliwości zatrzymania się w godnych warunkach na odpoczynek w przydrożnym zajeździe czy hoteliku, jak to było w Europie. Nie byłoby też możliwe podróżowanie dyliżansem, który jechał ze średnią prędkością 12-15 km na godzinę, w zależności od pory roku, pogody, stanu dróg i ilości koni. Podróże dyliżansem wiązały się też z postojami, w różnych miejscach, często niebezpiecznych. Dopiero rozwój kolei zrewolucjonizował podróżowanie po tym wielkim kontynencie. Kolej regularnie zaczęła kursować w latach 30. XIX wieku. Pierwszy parowóz "John Bull" sprowadzono z Anglii w 1832 roku do stanu New Jersey. Szybko też powstał na miejscu przemysł parowozowy i w rekordowym tempie zbudowano sieć szyn. W 1840 roku ogólna długość linii kolejowych na świecie przekroczyła 9000 kilometrów, z czego aż 4500 kilometrów znajdowała się w USA. Pociągi były jak na owe czasy bardzo szybkie. W latach 40. XIX w. przekroczono barierę 100 km/godzinę. To był rekord. Średnio jednak pociągi jeździły z prędkością ok. 80 km/godzinę. Pierwotnie, co jakiś czas stawano na stacjach na dłuższy postój, by pasażerowie mogli się posilić w licencjonowanych bufetach dworcowych. USA jako pierwsze, w latach 60. XIX w. wprowadziły wagony restauracyjne. To znacznie przyspieszało

podróż. Wymyślono też wagony sypialne, dla wygody pasażerów, pokonujących wielodniowe odległości. Pierwszy wagon sypialny w USA (George'a M. Pullmana) zaczął kursować między Chicago i Bloomington w 1859 r. Wprowadzono też (wówczas tylko w USA) luksusowe wagony salonowe tzw. „parlour cars", kursujące pomiędzy głównymi miastami.

Helena Modrzejewska przemierzała ogromny kontynent wzdłuż i wszerz głównie pociągami. Tak też układane były jej trasy, uzależnione od miejsc, gdzie znajdowała się stacja kolejowa. Czasami trzeba było dojechać jeszcze końmi. Kariera Modrzejewskiej się rozwijała, przybywało kostiumów i dekoracji. Z czasem, gdy założyła własną firmę *Helena Modjeska Company* miała swój wagon „Poland", pierwszy raz w historii tego kontynentu. Urządziła go, jak dom, z wygodnym łóżkiem, lustrem, obrazami na ścianach, dywanami i książkami. W końcu spędzała tu dużą część swojego życia. Miała tam – *salon z szafami pełnymi książek, kilkoma dobrymi sztychami i wielkimi wazonami świeżych kwiatów. Sypialne przedziały Madame mogły być sypialniami wielkiej księżnej; srebrny komplet przyborów toaletowych z wyrytymi herbami Chłapowskich błyszczał na ozdobnym stoliku, a łóżko pokryte było bielizną z monogramem, brokatową kołdrą i podbitą futrem narzutą. Przedział jadalny był urządzony w podobnym stylu. Używano najlepszej porcelany i bielizny stołowej, a posiłki przygotowywane przez polskiego kucharza były wyborne, gdyż Madame i jej mąż byli*

zapamiętałymi smakoszami. Podczas długich przejazdów koleją Madame prowadziła tryb życia odznaczającym się pełnym wdzięku zachowaniem form. Jej dyrektor zespołu, pierwszy aktor oraz dwaj członkowie zespołu w kolejnej ważności byli zapraszani codziennie do wagonu na śniadanie lub obiad. Przestrzegano ściśle protokołu i siedzieli oni stosownie do swych stanowisk w trupie. ***[9]***

W pierwszą podróż teatralną po miastach i miasteczkach Kalifornii i Newady artystka wybrała się jesienią 1877 roku. Wtedy miała miejsce prapremiera „Damy Kameliowej" A. Dumasa w przeróbce pod tytułem „Camille". Modrzejewska pojechała z partnerami z California Theatre z San Francisco. Zapamiętała zjazd w Virginia City na samo dno kopalni srebra. Gdy wręczyła dolara przewodnikowi, tego zamurowało. Okazało się, że był to właściciel kopalni, który z grzeczności oprowadził artystkę. [10]

Na początku grudnia 1877 roku aktorka po raz pierwszy pojechała koleją transkontynetalną do Nowego Jorku. Jechała kilka dni i kilka nocy. Ten olbrzymi kraj, o tak różnych krajobrazach i klimatach, wywarł na niej ogromne wrażenie.

Pierwszą amerykańską turę zorganizował jej impresario Sargent i to już w 1878 roku. Helena Modrzejewska była przerażona, 5 miesięcy nieustającego grania, 17 miast, 17 różnych hoteli, w

każdym mieście nowe próby i inne warunki sceniczne oraz nowi partnerzy. Jedynie niedziele były wolne od grania, ale te trzeba było spędzić w pociągu. [11]

Druga amerykańska tura zaczęła się 16 września 1878 roku w Filadelfii, a skończyła w połowie maja 1879 roku. Była bardzo wyczerpująca – 35 tygodni w drodze, 50 miast, 240 przedstawień, 6 sztuk w repertuarze, dwie nowe premiery. Takiej ilości występów, w takim czasie i na tak dużym terenie nie miał dotąd żaden aktor. Mówiło się, że Modrzejewska otworzyła nowy rozdział w amerykańskim systemie wędrownych artystów. Aby zrealizowanie tak ambitnego planu było możliwe, impresario po raz pierwszy wtedy wynajął artystce wagon kolejowy. Potem własne wagony stały się normą wśród podróżujących aktorów, mówiło się nawet, że ten system przyczynił się do upadku stacjonarnych scen w amerykańskich teatrach. [12]

Drugi „tour" zakończyła 17 maja w New Haven. Helena Modrzejewska musiała się nauczyć zasypiać w każdych warunkach, jeść na dworcach w pośpiechu, w poczekalniach „różne świństwa ze stu różnych kuchni między Kanadą a Nowym Orleanem", nie mogła chorować, mimo, że przebywała w różnych klimatach, uścisnęła dłonie tysiącom ludzi, odpowiedziała na tysiące pytań. [13]

Trzeci amerykański „tour" Modrzejewskiej zorganizował nowy

impresario Fred Stinson w 1882 roku. Miał być to „pożegnalny tour”, prasa w całej Ameryce ogłosiła, że po tych występach, artystka wraca na stałe do Europy. Nie trudno się domyśleć, że dochód był ogromny. Impresario określił go „łatwym tourem”, tylko 38 tygodni w podróży, mniej małych miast, więcej dłuższych postojów. Jednak Modrzejewska nie podzieliła tej opinii. W planach był – trzy pierwsze tygodnie Boston, potem dwa małe miasta, 5 tydzień Brooklyn, 6 – Troy i Albany, 7 i 8 – Filadelfia, 9 – małe miasteczka, 10 – Waszyngton, potem miesiąc w Nowym Jorku bez przerwy na Święta, a potem kolejno po tygodniu Cleveland, Cincinnati, Louisville, St. Louis, dwa tygodnie w Chicago, potem Milwaukee, Pittsburgh, Buffalo, potem kilka miast w Kanadzie i znów Nowy Jork. Po 16 przedstawieniach w Nowym Jorku podróż przez ogromny kraj do San Francisco. I cztery tygodnie codziennych występów w San Jose, Sacramento, przejazd przez Sierra Nevada do stanu Utah i Salt Lake City, a potem do Denver w Colorado. Tam 16 czerwca 1882 zakończyła się ta „łatwa” tura. [14]



Helena Modrzejewska w Ardenie, fot. ze zbiorów Fundacji Heleny Modrzejewskiej w Arden.

W 1883 roku amerykańskie gazety doniosły, że wielka gwiazda jednak przedłuża pobyt w Ameryce o rok i odwiedzi te miasta, do

których nie zdążyła dotrzeć.

Czwartą amerykańską turę poprowadził Karol Chłapowski, z pomocą dotychczasowego impresario Freda Stinsona. Ze względów finansowych taki układ na pewno się opłacał, jednak na polu organizacyjnym pojawiło się wiele trudności, a roztargnienie męża artystki przeszło do legendy. Chłapowski mylił miasta, pociągi, osoby, terminy spraw. Mimo niezwykłego oczytania i znajomości czterech języków był tematem żartów. Modrzejewska w końcu postanowiła – niech „tour" firmuje Karol, ale organizacją zajmie się Stinson, a ona wypłaci mu pensję. Dzięki takiemu zabiegowi 40-to tygodniowa tura się odbyła. Pod koniec tury Modrzejewska była już bardzo zmęczona. Żaliła się w liście do Witkiewicza – *Okropnie głupie to życie moje, co mnie pochłania, niszczy i sprowadza do rzędu stworów wegetujących, a nie żyjących. Jestem już prawie taką istotą na wpół roślinną, a na wpół zwariowaną.* ***[15]*** Tura skończyła się w połowie 1884 roku. Modrzejewska popłynęła do Europy, w planie miała pobyt przez dwa lata. Jednak Ameryka nie chciała jej tak łatwo wypuścić. Artystka podpisała kontrakt na kolejną, 5 turę, którą rozpoczęła jesienią 1885 roku. Znów zagrała ogromną ilość przedstawień (245), z których tylko jedno odwołała, przejechała przez 80 miast, była w Nowym Orleanie, w Omaha, w Houston, w Bostonie, dwukrotnie w Kanadzie, czterokrotnie w Nowym Jorku, dwukrotnie w Chicago, w Filadelfii, w Cincinnati.

Ważne w karierze Modrzejewskiej były występy w Kanadzie, choćby dlatego, że Kanada nie była wówczas tak rozwinięta jak Stany Zjednoczone i była młodym krajem. Jako państwo zaczęła funkcjonować dopiero w 1867 r. po zjednoczeniu brytyjskich kolonii leżących na północ od rzeki Św. Wawrzyńca i Wielkich Jezior. Dopiero z czasem się rozrastała, przyłączając kolejne prowincje. Poza tym, w przeciwieństwie do Stanów była cały czas zależna od Korony Brytyjskiej. Nie miała tylu scen, ani dobrze zorganizowanej sieci kolejowej i była „daleko na północy". Teatry, w których grała Modrzejewska w większości już nie istnieją. Piękny budynek Grand Opera House otwarty w 1874 roku przy Adelaide Street West w Toronto, został tylko na starych fotografiach. Obecnie w tym miejscu stoi 68-piętrowy, nowoczesny budynek Scotia Plaza, usytuowany w rejonie finansowym. Jedynym śladem po dawnej świetności artystycznej tego miejsca jest niewielki pas biegnący na południe z Adelaide Street West, o nazwie „Grand Opera Lane".

Przyjazd Heleny Modrzejewskiej do Kanady był zainspirowany barwnym pisarstwem Henryka Sienkiewicza. W jednym z „Listów z podróży do Ameryki" znalazł się niezwykle obrazowy opis wodospadów Niagara, który ją do tego stopnia zaciekawił, że zapragnęła ujrzeć to miejsce. Zobaczyła wodospady 8 grudnia 1878 roku. A już na początku 1878 roku miała uzgodnione pierwsze występy w Kanadzie.

Pobyt w Toronto niestety mocno rozczarował Helenę. Grała „Damę Kameliową" Aleksandra Dumasa. 15 marca 1878 roku pisze list z Toronto do męża. – *Tutaj Adelajda Neilson**[16]** jest uważana za bóstwo i publiczność z trudem daje się przekonać, że kto inny może być równie dobry lub lepszy niż ona. Wychodząc z teatru szepczą „lepsza niż Neilson", ale nie mają odwagi powiedzieć tego głośno, jakby się wstydzili czy bali. Trupa, z którą gram jest pod psem.* ***[17]***

Modrzejewska występowała w Toronto jeszcze kilka razy na początku lat 80-tych oraz 90-tych XIX wieku. Ale już kolejny przyjazd do Kanady zostawił zupełnie inne wrażenia, niż pierwszy. Między 12 a 14 października 1893 roku Karol Chłapowski pisze w liście do rodziny. – *Mamy teraz najlepszy zespół w Ameryce, wszyscy w nim to artyści. Przez kilka pierwszych tygodni w Toronto byliśmy bardzo zajęci codziennymi próbami, ale po półtora miesiąca jest już wszystko prostsze, tak, że mamy całe dnie wolne, a zajęte tylko wieczory. Mam mnóstwo pisania i łażenia każdego dnia. Wolne chwile to książki, wist lub pasjans. (…)*

Jak bardzo Helena była uwielbiana i popularna w Kanadzie świadczy nazwanie jej imieniem statku parowego, który przez wiele lat pływał po jeziorze Ontario. Był to wówczas jedyny przypadek w historii, aby tak uhonorować żyjącego aktora. Parowiec pasażerski „Modjeska" zbudowano i wodowano w

stoczni szkockiej w Glasgow w 1889 roku na zamówienie kanadyjskiego przedsiębiorstwa. Statek pływał pomiędzy Hamilton i Toronto do 5 VII 1924 r., kiedy to zderzył się z innym statkiem. Wyremontowany został przemianowany na „Manitoulin” i pływał jeszcze do 1953 r.



Helena Modrzejewska w roli Porcji z „Kupca weneckiego” W. Szekspira, fot. zbiory własne.

Helena Modrzejewska przejechała wielokrotnie amerykański kontynent wzdłuż i wszerz. Przyzwyczaiła się do stukotu szyn i gwizdów przed stacjami. Ale jak powtarzający się w nieskończoność refren pisała w listach do przyjaciół i rodziny w Polsce – jeszcze tylko ten rok, jeszcze tylko kilka razy zagra w Nowym Jorku czy w Chicago i wrócą z Karolem do Polski, już na zawsze. Jednocześnie bogactwo amerykańskich możliwości uzależniało, teatralna rozkręcona machina wciągała, mnóstwo niedokończonych spraw czekało, nie łatwo było więc ten świat zostawić.

Helena Modrzejewska odbyła w sumie dwadzieścia trzy amerykańskie tury, każda trwała kilka miesięcy. Ostatnia tura rozpoczęła się 15 października w New Jersey w 1906 roku, a zakończyła w marcu 1907 r. Była to jedna z trudniejszych tur. Pierwsze dwa miesiące artystka podróżowała bez swojego wagonu sypialnego, z tego względu, że tura zawierała bardzo dużo małych mieścin, które nie miały stacji kolejowej. Modrzejewska ciągle była niedospana, mimo, że twierdziła, iż bez 8 godzin snu na dobę jest „nie do grania”. Prawie codziennie zatrzymywali się w innym hotelu. Na całej trasie zgotowano jej

huczne pożegnania. Finał z Lady Makbet uznano za doskonały. Pisała z drogi – *Miałam próbę generalną z Marii Stuart, na której musiałam być obecną. Tak byłam zmęczona tego dnia, że usiadłszy w wygodnym krześle w loży w antraktach usnęłam, ku wielkiemu zdziwieniu naszego reżysera. (…) Wczoraj po południu machnęłam Marię Stuart, wieczorem Makbetową, teatr był dość pełny mimo wielkiej imprezy konkurencyjnej w owym mieście Hartford w stanie Connecticut.* ***[18]***

To nieustanne życie w pociągu i na walizkach, ciągłe pakowanie, stukot kół, dworce, obcy ludzie, hotele, przyczyniły się do bardzo silnego marzenia o posiadaniu domu, o miejscu powrotów. Życie składa się z wielu antynomii. W Polsce, pod zaborami artystka miała nieustanną pokusę, aby uciec do wolności, pozbyć się więzów. Wtedy marzyły jej się wielkie, nieograniczone przestrzenie, które będzie mogła przemierzać bez żadnych ograniczeń. Skoro podróże były już jej codziennością, a nawet uciążliwym przymusem, stabilizacja, stworzenie sobie i swojej rodzinie własnego gniazda, stało się celem.

Artystce marzyło się stworzeniu miejsca, inspirowanego literaturą – Lasu Ardeńskiego rodem ze sztuki Szekspira „Jak wam się podoba", schronienia artystów, filozofów i twórców kultury, gdzie „czas płynie beztrosko, jak w złotym wieku". Poza tym była już na takim etapie sławy, że wypadało mieć swoją posiadłość. Widziała wiele siedzib wielkich artystów i zdawała

sobie sprawę z tego, że stanowią one doskonałą ramę do ich zawodowych sukcesów.

Helena Modrzejewska i Karol Chłapowski po raz pierwszy zobaczyli uroczysko i drewniany dom malowniczo położony u stóp Gór Santa Ana w Santiago Canyon w Kalifornii w 1876 roku, podczas wakacyjnej podróży do Anaheim. Zachwycili się miejscem i okolicą. Wtedy była to 160-cio akrowa posiadłość górska, należąca do pary pionierów – Józefa i Marii Refugio Pleasantów.

W 1883 roku, podczas kolejnego pobytu w Kalifornii Chłapowscy kupili pół praw do posiadłości Pleasantów w Santiago Canyon, a w 1888 r., po śmierci Marii Refugio, dokupili pozostałe prawa oraz dodatkową ziemię wzdłuż potoku i zaczęli planować znaczącą rozbudowę domu. Poprosili słynnego wówczas architekta z Nowego Jorku, Stanforda White'a o zaprojektowanie przebudowy. Prawdopodobnie architekt ten nigdy nie widział domu w Ardenie, pracował na odległość, mając jedynie do dyspozycji fotografie i szkice. Kupno rancha spowodowało, że zaczęli spędzać tam dużo czasu, ciesząc się pracą nad upiększaniem swojego kalifornijskiego zakątka.



Salon w Ardenie Heleny Modrzejewskiej, fot. ze zbiorów Fundacji Heleny Modrzejewskiej w Arden.

Z czasem przed domem pojawił się ogród różany, z ukochaną karmazynową odmianą „Henrietta”, wielka radość i duma

artystki. – *Nowa róża właśnie wczoraj rozkwitła* – pisała do pani Winter z Tustin, 9 września 1896 r. – *Baronness Rothshild jest duża, w kolorze różowym, na długiej łodydze, z liśćmi i ma zapach herbaciany.*

Dom opleciony kwitnącymi klombami i kaktusami odbijał się bielą od zieleni drzew i krzewów, a blasku dodawały mu zielone obramowania okien i kolorowe zasłony we francuskich oknach. Zdobiły go werandy, na których wiecznie wygrzewał się kot i wylegiwał pies. Wokół śpiewały oswojone ptaki, a z daleka widać było czasami przychodzące z gór kozice. Wnętrze 12-to pokojowego domostwa odzwierciedlało upodobania gospodarzy. W środku znajdowała się biblioteka z wielkim, trójdzielnym oknem i widokiem na góry. Dookoła ciemne dębowe półki z literaturą polską, francuską, niemiecką i angielską z królującym Szekspirem. Na sztalugach portret artystki w efektownej, złotej ramie, a na ścianach malarstwo, głównie polskie. Na podłodze leżały miękkie, perskie dywany, a pośrodku stał mahoniowy stół z egzemplarzami teatralnymi, wycinkami prasowymi i albumami pełnymi fotografii. W kącie elżbietański stolik – prezent od aktora Joe Jeffersona.

Jadalnia to królestwo Karola Chłapowskiego. Długa i przestronna, mogła pomieścić kilkanaście osób. Duży, ceglany kominek wieńczyła głowa bawołu z rogami. Na pozostałych ścianach wisiała kolekcja starej, cennej broni – miecze, oszczepy,

flinty, sztucery…

Dom stawał się unikalnym miejscem, łączącym egzotykę Kalifornii z atmosferą polskiego dworu i chaty góralskiej, klimatem wystawnej posiadłości ziemskiej z letnią willą, gdzie na werandach, ocienionych krzewami pija się popołudniową herbatę. Stawał się oazą, ucieczką od reszty świata. – *Za każdym razem, gdy przyjeżdżałam do Ardenu myślami byłam daleko od sceny* – pisała artystka w swoich „Wspomnieniach".

Tu nie grała ról teatralnych, ale grała wiele ról życiowych, żony, matki, córki, ciotki, pani na włościach. Inscenizowała nie tylko swoje życie, ale i życie innych, Karolka, Dolcia, siostrzenic i bratanków. Poczuła się Rozalindą z Ardeńskiego Lasu. Wybierała się na przejażdżki konne po okolicy na koniu, którego nazwała imieniem szekspirowskiego partnera Rozalindy – Orlanda. Życie i scena wzajemnie się przenikały.

Codzienność w Ardenie zdawała się być sielska, romantyczna i poetycka. Pierwsze śniadanie podawano zawsze na werandzie pod dębami, drugie – pakowane było w koszyczki, aby każdy mógł zjeść piknik gdzie chciał i z kim chciał. Obiad był wspólny, jedzony przy dużym stole w jadalni. Potem grano na instrumentach, lub w karty i gawędzono. O godzinie 10-tej podawana była herbata. Wieczorem czytało się książki lub spacerowało pod gwiazdami, wśród mocnej woni bujnej

roślinności, w towarzystwie cykad.

Ten ziemski raj był idealnym miejscem, aby rozwijać swoje talenty. Mimo zajęć gospodarskich, Helena rygorystycznie narzucała sobie ćwiczenie ról. Czytała bardzo dużo książek, miała też niebywały talent literacki. Właśnie tu, w Ardenie mogła spokojnie pisać swoje „Wspomnienia", dzięki którym tak dużo wiemy o jej życiu. Stąd wysłała bardzo wiele listów do rodziny i przyjaciół, niemal w każdym z nich zawierając cząstkę swojego królestwa. Oddawała się też malowaniu, robiła drobne upominki ze swoich rysunków, ozdabiała bajki dla swoich wnuków.

Helena Modrzejewska spotykała się też z okolicznymi sąsiadami. „Bratała się" także z ludem podczas barbecue, czyli jak to nazywała „obrzędowego pieczenia całego wołu na rożnie", podawanego z chili rozgniecionym na papkę i popcornem. – *Popcorn jest to rodzaj kukurydzy, który w górę skacze, gdy się go piecze, a po upieczeniu wygląda i smakuje jak wata* – pisała do Józefa i Teonii Chłapowskich. – *Robią z tego duże kule ocukrzone, które amerykańskie dzieci z namiętnością pożerają, za co niech Bóg da im zdrowie, bo ten ich cudaczny gust podnosi cenę owej kukurydzy do wcale poważnej cyfry.* Podczas takich ludowych imprez tańczyła z pastuchami ubranymi w spodnie w lampasy i sombrera, przy dźwiękach zawodzącej gitary. Chciała poznać lud, który tu mieszkał i jego jakże odmienne zwyczaje.

Państwo Chłapowscy w ciągu 18 lat spędzili w Ardenie wakacje i wystkie inne okresy odpoczynku (od 1888 do 1906 r.). [19]

Helena Modrzejewska notowała swoje spostrzeżenia na temat Ameryki. Była bystrym obserwatorem i widziała wiele szczegółów. Jej opisy są barwne i plastyczne. To dodatkowy element będący konsekwencją licznych podróży. Jaka zatem była XIX wieczna Ameryka Modrzejewskiej? *Pełna rozmaitości* – pisze we „Wspomnieniach" – *budynki w tysiącznych stylach i bez stylów, lud na ulicach także dający wyobrażenie o wieży Babel, rozmaite typy mówiące rozmaitymi językami. Tu Indianin noszący z dumą swoje łachmany, tam Murzyn w cylindrze i z laseczką, tu znów Murzynka wyrywająca przed sklepem ząb swemu bosemu jedynakowi lub małe czarne bębny przystrojone w kawałki firanek czy modne kapelusze. Francuzki sprzedające kwiaty, Włoch grający na katarynce, Niemiec sprzedający kiełbasy, Indianki skulone, okryte rządowymi kołdrami i z dużymi puklami włosów na głowach, sprzedające koszyki i zioła, lub jankes wędrujący z ruletą*. [20] Tak się artystce jawiła Ameryka drugiej połowy XIX wieku. Fetującą, ale i nie rozumiejąca. Ciężka do zdobycia, ciężka do przebycia.



Helena Modrzejewska w Ardenie, fot. ze zbiorów Fundacji Heleny Modrzejewskiej w Arden.

Ślady po podróżach Heleny Modrzejewskiej istnieją w Ameryce

do dziś. W wielu nazwach geograficznych w Kalifornii figuruje się nazwisko Modjeska – miasteczko, stacja kolejowa, droga szybkiego ruchu, kanion, straż pożarna, sklep, szczyt czy wodospad zostały nazwane nazwiskiem aktorki. W antykwariatach czy na aukcjach pojawiają się XIX wieczne pocztówki z artystką i jej domem, nuty utworów komponowanych dla niej, japońska porcelana Noritake Modjeska, srebrne sztućce Oneida Community Modjeska, opakowania po kosmetykach firmy Larkin z ekskluzywnej serii Modjeska, programy teatralne czy afisze. z wielkim nazwiskiem Modjeska pośrodku. Przedmioty te przemawiają, wyłania się z ich obraz kobiety o niebywałym stylu i smaku. Kobiety, do której zgłaszały się duże firmy, aby użyczała swojego nazwiska dla różnego rodzaju produktów. Szyto więc damskie stroje *a la Modjeska*, można było kupić kapelusze *a la Modjeska,* czy też różne przybory toaletowe *a la Modjeska*. Aktorka stała się w Ameryce tak naśladowana, że w miastach, przez które przeszła, zaczęła dyktować nie tylko modę, ale i maniery, zachowanie, gesty. *Bombonierki, obwoluty do cygar i pudełka od zapałek ozdabiano jej wizerunkiem; nawet w restauracjach podawano zające i kompoty a la Modejska* – jak napisał jeden z recenzentów. Konkurencyjne domy mody „wydzierały sobie" Modrzejewską. Artystka nie wiedziała w czyim nakryciu głowy ma wyjść na scenę. Kapelusze z napisem *Modjeska* czy żakiety *Modjeska* szły jak przysłowiowa woda. W miastach, w których występowała bez końca fetowały ją miejscowe kluby, a wieczorem na scenie pojawiały się wielkie

kosze kwiatów z „gwiazdą północy” na szczycie, utkaną z białych i czerwonych róż. Modrzejewską nazywano „Gwiazdą północy”, czyli przybyłą z Polski, kraju leżącego gdzieś tam na północy Europy. Po występach zgłaszali się do niej producenci różnych firm, aby użyczyła nazwiska dla reklamy. Tak było np. z czekoladkami, które można kupić do dziś w wielu sklepach Ameryki. 7 grudnia 1883 roku Anton Busath był na premierze „Domu Lalek” Ibsena w Teatrze McCauley w Louisville w stanie Kentucky. Helena Modrzejewska go oczarowała, chciał więc upamiętnić ją w nazwie wytwarzanego przez siebie produktu. Dziś ta sama wytwórnia czekoladek działa w stanie Kentucky pod nazwą Bauer’s Candies i ma w ofercie 16 zestawów czekoladek *Modjeska*, wyróżnionych w osobnym dziale na stronie internetowej, jako seria ekskluzywna. W Milwaukee, Wisconsin działa zbudowany w 1910 roku Modjeska Theatre, który wprawdzie nie wystawia repertuaru Heleny Modrzejewskiej, ale na stronie internetowej przypomina krótki życiorys patronki wraz ze słynnym obrazem Heleny malowanym przez Tadeusza Ajdukiewicza. Życiorys ten nie jest do końca prawdziwy, prawdopodobnie taką wersję życiorysu przedstawiał amerykański impresario artystki. Zapewne nie wszystkie legendy były zdementowane i jako słowo zapisane są świadectwem pewnej kreacji, której wymagała sława.

Dziś prawie każdy stan ma swój festiwal szekspirowski, podobnie w Kanadzie, w Ontario w mieście Stratford coroczna wielka

impreza poświęcona Szekspirowi przyciąga tłumy miłośników sztuki. Niewiele jednak osób zdaje sobie sprawę, że jest to jeden z największych trwałych śladów po podróżach Heleny Modrzejewskiej w Ameryce. To ona spopularyzowała Szekspira w najdalszych zakątkach tego wielkiego kraju.

Dwujęzyczną książkę o Helenie Modrzejewskiej „Co otrzymałam od Boga i ludzi" można kupić przez Amazon:

https://www.amazon.com/Received-People-Helena--Modjeska-Modrzejewska/dp/0615293441/ref=sr_1_1?ie=UTF8&-qid=1486658876&sr=8-1&keywords=Sokolowska-Gwizdka

Przypisy:

[1] Z listu do Marii Faleńskiej, za: J. Szczublewski, Żywot Modrzejewskiej, W-wa 1975, s. 202.

[2] J. Sokolowska-Gwizdka, Co otrzymałam od Boga i ludzi. Opowieść o Helenie Modrzejewskiej, USA 2009.

[3] Karol Chłapowski był osadzony w więzieniu w Berlinie za udział w Powstaniu Styczniowym.

[4] J. Sokolowska-Gwizdka, Co otrzymałam od Boga i ludzi. Opowieść o Helenie Modrzejewskiej, USA 2009.

[5] H. Modrzejewska: Wspomnienia i wrażenia, Kraków 1957, s.269.

[6] Ibidem, s. 269-270.

[7] Z listu do Marii Faleńskiej, za: J. Szczublewski, Żywot Modrzejewskiej, W-wa 1975, s. 202.

[8] H. Modrzejewska: Wspomnienia i wrażenia, Kraków 1957, s. 300.

[9] Ibid. s. 544.

[10] J. Szczublewski, Żywot Modrzejewskiej, Warszawa 1975, s. 232.

[11] Ibid. 237.

[12] Ibid. s. 262.

[13] Ibid. s. 278.

[14] Ibid. s. 362.

[15] Ibid. s. 391.

[16] angielska aktorka znana z ról szekspirowskich.

[17] Ibid.

[18] Ibid. s. 664.

[19] J. Sokołowska-Gwizdka, Co otrzymałam od Boga i ludzi. Opowieść o Helenie Modrzejewskiej, USA 2009, z rozdziału „U nas w Arden".

[20]H. Modrzejewska, Wspomnienia i wrażenia, Kraków 1957.

BIBLIOGRAFIA:

1957. Modrzejewska, Wspomnienia i wrażenia, Kraków 1957.
1958. Fabijańska-Żurawska, Podróże dawniej i dziś, List oceaniczny – dodatek kulturalny dziennika Gazeta pod red. J. Sokołowskiej-Gwizdka, lipiec 2007, nr. 55.
1959. Siedlecki, Helena Modrzejewska, Kraków 1990.
1960. Sokołowska-Gwizdka, Co otrzymałam od Boga i ludzi. Opowieść o Helenie Modrzejewskiej, USA 2009.
1961. Szczublewski, Żywot Modrzejewskiej, Warszawa 1975.
1962. Terlecki, Pani Helena, Kraków 1991.

Z miłości do sztuki. Helena Modrzejewska (1840-1909), prac. zbior., Muzeum Historyczne Miasta Stołecznego Krakowa,

Kraków 2009.

Historia kolei, Wikipedia, Interia.pl.

Syn burżuja, czyli jak zabierali nam Zawory

Romuald „Aldek” Roman



Romuald „Aldek” Roman,

wspaniały gawędziarz.

Wiem, że mi nie uwierzycie, że trzyletnie dziecko może coś pamiętać przez całe życie, lecz scenę zabierania naszego domu w Zakopanem pamiętam tak, jakby to było wczoraj. Nie tak jak pamięta się film, czyli jako ciąg wydarzeń, lecz inaczej, jakby przeszłość zapisała się w szparze spojrzenia, w jednym bardzo wyraźnym ujęciu. Ja tak właśnie pamiętam scenę na ganku Zaworów. Tak ją widziałem ja, trzyletnie dziecko, biegnąc korytarzem w stronę wejścia do domu, zanim mama mnie złapała, wzięła na ręce i wyniosła do mieszkania, żeby nic mi się nie stało.

Potem słuchałem jednej babci, drugiej babci, mamy i każda z nich niby to odpowiadała na moje pytania, jak to wtedy było, ale wszystkie chciały mnie zbyć. A ojciec, gdy tylko wspomniałem, że nam dom zabrali, patrzył na mnie takim wzrokiem, że uciekałam szukać ratunku babci. Dopiero później, po latach, już jako nastolatek, poskładałem kawałki różnych opowieści i porównałem to z zapamiętaną sceną, aby w końcu wyrobić sobie opinię, jak to wtedy było. Zanim jednak wrócę do tamtego momentu, muszę naszkicować miejsce akcji i przedstawić jej bohaterów.

Nasz dom nazywał się Zawory i został wzniesiony przy ulicy Tetmajera w latach trzydziestych przez krawca biznesmena Nalepę, który budował i sprzedawał coraz to większe domy. Najpierw wybudował Hrabinę (teraz jest to wojskowy dom wypoczynkowy i tak go przebudowano, że ze starego domu nic już nie zostało), potem nasze Zawory, i ten dom kupił od Nalepy mój ojciec ze swoją drugą żoną. Trzecim, największym projektem pana Nalepy, jest do dziś nieprzebudowany Tatrogród.

Pensjonat w Zakopanem to była w XX wieku bardzo dobra inwestycja. Ojcu skapywały grosiki do pularesu i za czasów premiera Becka, i za czasów prezydenta Bieruta, aż ten drugi przerwał brutalnie burżujskie zapędy mego rodziciela. Zanim to jednak nastąpiło, w niewielkim czternastopokojowym pensjonacie mieszkaliśmy całą gromadą: ojciec z mamą, matka ojca Lena, matka mamy Romana (jak to się dziwnie czasem składa z tymi imionami), no i ja. Po przydzieleniu pokojów rodzinie i oddaniu mieszkania na strychu państwu Kowalikom, którzy prowadzili nam pensjonat, dla gości hotelowych zostało niewiele pokoi. Ponieważ jednak ojciec nie pracował i czekał na przybycie generała Andersa z Londynu, a mama albo płakała, albo malowała obrazy, z tego naszego pensjonatu wielkich dochodów nie mieliśmy. Ot, mieszkaliśmy za darmo i zatrudnialiśmy kogoś, żeby sprzątał i palił w piecach.

Ja, trzyletnie dziecko, nie zdawałem sobie sprawy, że otaczają

mnie postacie jak z bajki. Stary ojciec – kiedyś żołnierz i aktor, „bohater dziejowy" udający chorego biedaka. Zupełnie bezwolna, zastraszona, młodsza od ojca o lat blisko dwadzieścia mama. Matka mojej mamy, czyli Babcia z Dołu, wdowa po sędzim, która z głupoty i miłości do wnuków straciła mieszkanie i pracę i odgrywała rolę pani Dulskiej w domu swego znienawidzonego zięcia. Wreszcie matka mojego ojca, czyli Babcia z Góry, błękitnooka Lena, która przez całe życie miała ambicję zostania arystokratką i po śmierci pierwszego męża wyszła za mąż za prawdziwego hrabiego, ten jednak odszedł od niej w sposób tajemniczo-tragiczny. Myślała, że jest hrabiną, a mieszkała w domu syna z jego nieakceptowaną żoną i jeszcze bardziej nieakceptowaną matką tejże żony. Niezła menażeria, prawda?

Spróbujcie teraz wyobrazić sobie, jak oni się z sobą gryźli. Mama wyszła za mojego ojca, bo spodobała mu się, gdy była uciekającą przed bezpieką studentką, a on w romantycznym odruchu zapłacił duże pieniądze, by jej nie zamknęli za działalność w antykomunistycznej organizacji. Narzeczony mojej mamy z czasów studiów, Jarek Heger, który był asystentem na Akademii Sztuk Pięknych, dostał dożywocie i siedział w więzieniu we Wronkach pod Poznaniem. A mamie się udało, bo młoda i ogrywająca antykomunistyczną Joannę d'Arc sprzedała się starszemu panu, który właśnie rozwiódł się z żoną numer trzy i szukał nowego romansu.

Mój pięćdziesięciodwuletni wówczas ojciec był wysokim, postawnym mężczyzną i wyglądał na okaz zdrowia. Było to złudne, gdyż biorąc udział w obu wojnach światowych, parę razy został ranny, miał przestrzelone płuca (jako szesnastoletni legionista leczył się w sanatorium doktora Chramca) i dziurę w czaszce nad uchem. Na tych wojnach, oprócz dziur po kulach, dorobił się Krzyża Virtuti Militari i Krzyża Walecznych. A gdy nie wybuchały akurat wojny, był aktorem. Przez osiem lat występował nawet w Nowym Jorku (doskonale znał angielski), a po wojnie, choć na krótko, zanim obraził się na świat, próbował powrócić na scenę. Naiwnie myślał, że przetrzyma parę lat komuny, a potem znowu wybuchnie wojna, na białym koniu z Londynu przez morza przycwałuje generał i znowu będzie można żyć jak dawniej.

Mama ojca nie kochała, ale w sumie mogło się jeszcze między nimi ułożyć, gdyby nie to, że ich małżeństwo rozpadło się, gdy mama, z niepasującym do niej uporem i odwagą, wymusiła na ojcu, by pozwolił jej sprowadzić do Zakopanego matkę. I ta moja nieśmiała, niezdolna do żadnej decyzji mama potrafiła, jeden raz w całym swoim życiu, zbuntować się, stawić czoło mężowi, nie dać się zastraszyć rządzącej wszystkim teściowej, wyprowadzić się z pięknej, dzielonej z mężem sypialni do jednego pokoiku, aby tam gnieździć się ze swoją przez nikogo niechcianą matką i synkiem. Ten synek to oczywiście ja. Jak to się stało, że w ogóle doszło do takiej sytuacji?

Otóż matka mamy chciała pomagać swoim dzieciom w wychowywaniu wnuków. Gdy jej najstarszemu synowi tuż po wojnie urodziła się pierwsza córeczka, Elżbieta, matka mojej mamy zostawiła pracę i mieszkanie i pojechała do Warszawy niańczyć wnuczkę. Po roku żona syna, Tosia, oznajmiła: „Albo ja, albo twoja matka" i syn ze łzami w oczach odprowadził rodzicielkę na dworzec. Obrażona, pojechała do córki Dusi, gdzie przyjęto ją z otwartymi ramionami, bo Dusia miała dwóch maleńkich synków. Po dwóch latach jednak zięć Staszek kategorycznie zażądał, aby teściowa opuściła jego dom, i wtedy jedyną osobą, która mogła ją przyjąć, była moja mama. I tak to historia króla Leara powtórzyła się w mojej rodzinie – najmłodsza córka okazała matce najwięcej serca. I drogo za to zapłaciła.

Gdy Babcia z Dołu przyjechała do Zakopanego, Babcia z Góry oświadczyła: „Po moim trupie". Ojciec, który często się z nią zgadzał, powiedział to samo. Gdyby dotrzymali słowa, w naszym mieszkaniu zrobiłoby się luźniej, ale żyli tak jeszcze z sobą, gryźli się i nienawidzili przez ponad piętnaście lat. Babcia z Dołu od pierwszego dnia zaczęła mnie uczyć, że ojciec to pijak, leń i degenerat, a jego matce słoma z butów wyłazi, a hrabinę udaje. Babcia z Góry zachowywała się wyniośle i nigdy nie rozmawiała z „tą panią". Ojciec zamykał się w swoim pokoju i pił więcej niż zwykle. Każda z tych trzech kobiet chciała mieć mnie po swojej stronie. Babcie uczyły mnie pogardy i zapiekłej złości do swoich wrogów zza ściany, ojciec miał dość życia i ani w głowie mu było

cieszyć się synem, a mama płakała i malowała obrazy.

W Zaworach podczas wojny nie straciliśmy ani jednej łyżeczki, ani jednego mebla, gdyż Niemcy, pod nieobecność ojca, który spędził wojnę w partyzantce w lesie, urządzili sobie u nas hotel dla esesmanów i wszystkie nasze rzeczy powkładali do skrzyń i wynieśli do piwnicy. Czekały tam na nas te skrzynie do 1945 roku i dopiero gdy Niemcy wyszli z Zakopanego, miejscowa ludność nieśmiało zaczęła próbować dobierać się do dóbr dawnych właścicieli domu. Ale wtedy właśnie wrócił ojciec i pokrzyżował plany sąsiadów. Wziął sobie za punkt honoru przeczekać i żyjąc z zaoszczędzonych pieniędzy, nie pracować dla komuny, tylko dotrwać do czasów, gdy wszystko się zmieni. Teoretycznie miał wystarczająco dużo pieniędzy i złota i wymyślił takie schowki, żeby żadna ubecka rewizja ich nie znalazła. Jeden zwitek dolarów włożył do puszki po konserwie, puszkę zalutował i umieścił w drugiej puszce, po czym zamurował ją w filarze ganku. Drugą część dolarów ojciec poutykał w rurkach instalacji elektrycznej w olbrzymiej marmurowej lampie ze spiżową jaszczurką, która stała na jego biurku.

Mój zapobiegliwy rodziciel miał podobno jeszcze spory rulonik złotych dwudziestodolarowych monet, ale gdy zabierali nam dom, już ich nie było, gdyż ojciec, wiedziony przeczuciem, „korzystnie” sprzedał złoto trzy tygodnie przed dewaluacją złotówki. Miał ogromnego pecha, gdyż państwo ludowe ustaliło

limit starych pieniędzy, które można było wymienić na nowe, a my mieliśmy tak dużo tych starych, że nie mogliśmy znaleźć nikogo, kto pomógłby nam je wymienić. Zostaliśmy więc ze stertą makulatury.

Ojciec jednak stracił już tak dużo, że nie załamał się wymianą pieniędzy i pocieszał myślą, iż ciągle jeszcze ma dobrze schowanych parę tysięcy dolarów. Niestety, nieszczęścia chodzą parami, a czasem nawet dobierają się w trójki. Kiedyś w pokoju ojca zaczęło coś śmierdzieć. Mama to czuła i mówiła, że zapach jest jakiś nieprzyjemny, na co on się obruszał. Babcia z Góry też przebąkiwała, że w jego pokoju daje się wyczuć jakiś odór. W odpowiedzi ojciec w pokazał jej rosyjskie papierosy w granatowych pudełkach z wymalowaną trojką, które palił, i wytłumaczył, że na to mu teraz przyszło, że musi palić cuchnącą radziecką machorkę. Babka nie drążyła tematu, a mama tak się go bała, że też zamilkła. A smród w pokoju ojca brał się z tego, że w lampie stojącej na biurku zwęglały się dolary. Kiedy wreszcie rozebrał lampę, bo przestała świecić, najpierw się wściekł, a potem zgorzkniał i taki pozostał już do śmierci.

***

Teraz, gdy już ich wszystkich znacie, mogę wrócić do majowego południa w 1952 roku, gdy Babcia z Góry, stojąc na ganku na pierwszym piętrze, cieszyła się kwitnącymi jabłonkami rosnącymi

tuż pod jej oknem, a gdy popatrzyła trochę w lewo, w stronę wjazdu, mogła jeszcze stwierdzić, że jej ulubiona wiśnia też zapowiada piękny zbiór owoców. Tylko na starej gruszy co roku było coraz mniej gruszek. Ale i tak będzie z czego robić konfitury.

Babcia z Dołu siedziała na ławeczce koło fontanny i czytała jakąś mądrą książkę pożyczoną z biblioteki. Bardzo ceniła francuskiego pisarza Dumasa ojca, choć specjalnie się z tym nie afiszowała, gdyż trochę się ci Francuzi za często dziurawili szpadami. Wartka akcja jednak wynagradzała mrożące krew opisy pojedynków.

Mama szkicowała przy stole, kopiując Dürera, bo chciała poprawić technikę malowania dłoni, ponoć dowód umiejętności każdego malarza. Ojca nie było nigdzie widać, ale pewnie oddawał się swojemu ulubionemu zajęciu, czyli palił papierosa.

Aż tu nagle majową idyllę przerwał warkot dwóch ciężarówek, które zajechały pod nasz dom. Widok niesłychany: prawdziwe, wojskowe, zielone ciężarówki, paki przykryte plandekami, pod nimi ukryci żołnierze z karabinami. Gdy tylko samochody stanęły, żołnierze, a było ich chyba po dziesięciu w każdym ciężarówce, wysypali się na ulicę i pod okiem dowódcy zaczęli ustawiać się w szeregu i groźnie sprawdzać karabiny. Najwidoczniej przygotowywali akcję równoczesnego wejścia dwoma grupami

przez obie furtki w otaczającym Zawory białym drewnianym płocie. Przygotowania trwały parę minut, ot tyle, żeby mój ojciec zdążył pojawić się na ganku. I takiego go zapamiętałem. Jak później sprawdziłem, miał metr osiemdziesiąt siedem wzrostu, ale w oświetlającym go słońcu, z dumnie podniesioną głową, w marynarce, eleganckiej koszuli z krawatem i w stylowych „przedwojennych" pumpach, kapitan Mieczysław Antoni Roman wyglądał jak prawdziwy generał. A i głos miał nie byle jaki, tubalny, prawdziwie wojskowy. I krzyknął do żołnierzy (teraz myślę, że nie byli to prawdziwi żołnierze, tylko NKWD):

– Co tu się dzieje pod moim płotem?

A dowódca spojrzał nań z pogardą i odkrzyknął:

– W imieniu władzy ludowej zabieramy wasz dom pod przymusową administrację państwową. A potem wydał komendę:
– Pluuuuton! Naprzód maaarsz!

Daleko jednak nie pomaszerowali, gdyż stała się rzecz przedziwna. Ojciec, o czym nikt w domu nie wiedział, miał broń, pistolet nagan, pewnie jeszcze z czasów partyzantki. I gdy dzielni enkawudziści złapali za klamkę furtki, ojciec podniósł pistolet, wymierzył i powiedział dobitnie:

– Zaraz się przekonacie, czerwone skurwysyny, jak strzela

przedwojenny oficer!

Nie musiał strzelać. Młodzi żołnierze na widok pistoletu rozpierzchli się na boki. Został tylko dowódca, ale i on nie miał zamiaru zaliczyć kulki, bo zaczął negocjacje:

– Tylu nas jest, że podziurawimy was, obywatelu, pociskami jak sitko.

– Najpierw zastrzelę pierwszych trzech, którzy przejdą przez furtkę!

I wtedy nadbiegłem ja. Poczułem, jak mama złapała mnie, uniosła i uciekła do domu, bo gdyby doszło do strzelaniny, mogłoby mi się przytrafić coś naprawdę złego. Po chwili przybiegła Babcia z Góry, złapała ojca za rękę, tę, w której trzymał pistolet, zasłoniła go swoim ciałem przed żołnierzami i zaczęła krzyczeć:

– Mieciu! Zostaw im to! Nie poświęcaj życia dla jakiegoś domu. Niech biorą, co chcą. Ty masz syna. Ty masz jeszcze wiele lat życia przed sobą. Idź do swojego pokoju i zamknij się na klucz, a ja z nimi wszystko załatwię.

I tak też się stało. Mój potężny, bohaterski ojciec zmalał, odwrócił się na pięcie i powlókł do swojego pokoju. Po chwili

usłyszeliśmy wystrzał, więc wchodzący nieśmiało żołnierze znowu się zatrzymali, a ich dowódca pospieszył z pocieszeniem:

– To nic. To pewnie burżuj się zastrzelił.

Ale ojciec się nie zabił, tylko ze złości strzelił do zegara na ścianie. Potem przez wiele lat wiedzieliśmy, o której dokładnie godzinie zabrali nam dom. A żołnierze od razu zabrali się do pracy. Przydzielili każdej osobie po jednym pokoju, żeby nam się w głowach nie poprzewracało, a niepotrzebne meble wyrzucali z okien przed dom. Powiedzieli nam, że już za parę dni rozpoczną się w Zaworach obozy junaków i będziemy mieli okazję się przekonać, jak młodzież kocha władzę ludową i towarzysza Stalina.



Zakopane, Pensjonat Roztoka, kedyś Zawory.

Przyjechali junacy. Prości wiejscy chłopcy szesnasto-osiemnastoletni, zakochani w swojej misji dziejowej. Co było tą misją, wtedy jeszcze nie wiedziałem. Dopiero po wielu latach, gdy poznałem starego leśniczego, który jako emeryt przyszedł do Tatrzańskiego Parku Narodowego, żeby nakłaniać młodych inżynierów, by zapisywali się do partii, usłyszałem:

– Och, wy młodzi… Wy nigdy nie przeżyjecie tej euforii, tej

radości, która towarzyszyła mi, gdy szkoliłem junaków. Tych wspaniałych młodych chłopców, którzy przyjechali na Podhale, by wypleniać zabobony panoszące się wśród górali. Jako obiekt ataku wybraliśmy przydrożne kapliczki. Wiecie, te pokrzywione postacie Jezusa Frasobliwego, te Matki Boskie o czerwonych policzkach, tych świętych nie wiadomo od czego i za co uświęconych. To my, młodzi przyjaciele, postawiliśmy sobie za zadanie, żeby to wszystko wyrwać i wyplenić. Zamierzaliśmy pokazać góralom, że nic się nie stanie, jeśli to stojące pośród pól paskudztwo wyrwiemy, spalimy i porąbiemy siekierami. Ale nie dało się od razu. Chłopy i baby rzucały się na nasz hufiec jak złe osy. Wyrywali żerdki z płotów, lecieli z siekierami, kosami, o mało nas nie zabili, a pobili wielu. Ale przegrali. My nie w ciemię bici. Nie da się w dzień, to się w nocy kapliczkę rozwali. A ile potem radości było, gdy z daleka obserwowaliśmy, jak się te baby wydzierały, płakały, wrzeszczały na mężów i synów, że obiecali przez noc pilnować, a nie upilnowali. Ale sami wiecie, łatwiej kapliczkę zniszczeć niż pilnować noc w noc całymi tygodniami. I zniszczyliśmy kapliczki! Och! To były czasy!

***

W Zaworach junacy też mieli swoje zadania: srali przed drzwiami pokoju ojca (oj, mieli zabawę, gdy raz i drugi nie spojrzał pod nogi i wdepnął), wyzywali nas od burżujów, porąbali płot przed domem, żeby w zimie było czym palić, zasypali fontannę i

urządzili sobie na jej miejscu plac apelowy, w pokoju muzycznym urządzili magazyn na ziemniaki, bez usuwania z niego fortepianu, który przez pół roku, zanim zgnił i się zaśmiardł, wyglądał jak tratwa wynurzająca się z ziemniaczanego morza.

Ci junacy byli jednak o wiele fajniejsi niż moja rodzina. Byli radośni i odważni, a mój ojciec, jak mówiła Babcia z Dołu, był tchórzem, co własnego domu nie potrafił obronić. Junacy pięknie śpiewali na placu apelowym, a w domu nikt nie śpiewał, i tylko u Babci z Góry i u ojca całymi dniami chrypiały i trzeszczały stale zakłócane audycje Radia Wolna Europa. Junacy byli pięknie ubrani w junackie mundury, umieli się gimnastykować, a czasem nawet częstowali mnie jedzeniem. I tak to, a miałem wtedy ze cztery lata, zacząłem się rano, przed szóstą, wymykać z domu i przychodzić jako pierwszy na plac apelowy. Widziałem, jak junacy ustawiają się w szeregu i czekałem na nich, żeby stać na swoim miejscu na końcu, najmniejszy, najmłodszy, ale jeden z nich.

Z początku byli chyba źli i pewnie by mnie wyrzucili, ale nie wiedzieli, jak to zrobić. Przewidywali pewnie, że zacząłbym strasznie płakać, więc pozwolili mi stać w szeregu. A po paru dniach, gdy przestały ich śmieszyć i rozpraszać moje ruchy, pozwolili mi śpiewać z nimi ich pieśni. I śpiewałem:

Naprzeciw blaskom juuutrzni

W śmiertelny żar i huk.

Idziemy silni buuutni,

przed nami pierzcha wróg!

Co za piękna melodia, jak dodaje animuszu, jak napędza do wielkich czynów!

Albo inna wspaniała pieśń;

Naprzód młodzieży świata,

ten braterski połączy nas marsz,

Dawne przeminą lata,

hej, kto młody idź z nami i walcz.

Śpiewałem, śpiewałem z całego serca i choć apel się skończył, to chciałem śpiewać dalej. Wbiegałem więc po schodach na pierwsze piętro do pokoju Babci z Góry, a ona, widząc mnie, ściszała trzeszczące radio, podnosiła na mnie swoje ogromne, błękitne oczy i pytała:

– Cóż to takiego ważnego się stało, wnusiu, żeś taki zadyszany?

A ja wtedy dumnie, na cały głos, jak junak prawdziwy śpiewałem:

Niezłomny jest związek

Republik swobodnych…

I w starych, pięknych oczach Leny Roman-Dzieduszyckiej pojawiały się łzy.

Kolejny fragment książki we wtorek 18 października 2016 roku.

O mgle & mglistości

Dariusz Pawlicki

Poniższą fotografię przedstawiającą zamarznięte jezioro Pogorzelec, zrobiłem ostatniego dnia 2009 r., niedługo po zachodzie słońca. Nie użyłem żadnych filtrów, nie wsparłem się również, takim czy innym, programem służącym do obróbki

zdjęć. Po prostu nad jeziorem unosiła się mgła. A w niej była obecna/skrywała się jakaś Niezwykłość, której kolorystycznym przejawem była, jak później się okazało, niebieskość.

Las okala jezioro z trzech stron (z jednej z nich została zrobiona ta fotografia). Na zdjęciu obecność mgły nad taflą lodu, rzuca się w oczy. Zwłaszcza, gdy patrzy się na pojedyncze drzewa (są nimi sosny) rosnące na przeciwległym brzegu.

Często spoglądam na to zdjęcie. Przedstawia bowiem jedno z bardzo bliskich mi miejsc. Do tego ta mgła... I po kolejnym spojrzeniu na wspomnianą fotografię, zaczął się we mnie rodzić pomysł napisania szkicu bądź eseju właśnie o mgle. Nie tylko o niej, jako takiej, ale o wszystkim (no, prawie wszystkim), co z nią się wiąże.



Jezioro Pogorzelec, fot. D. Pawlicki

*

Bardzo, bardzo długo po Arystotelesie takie zjawiska atmosferyczne jak np. mgła były uznawane za anomalie pogodowe. Stanowiły zarazem zwiastun zmiany pogody. O samej mgle Filozof w *Meteorologice* twierdzi, że każdorazowo jest ona pozostałością po chmurze przemieniającej się, na skutek zagęszczenia, w wodę; nie osiągającej jednak ostatecznie jej

stanu. Dlatego jest rodzajem chmury, która nie przynosi deszczu. I w związku z tym jest raczej oznaką mającej nastąpić poprawy pogody.

Natomiast w *Słowniku języka polskiego** mowa jest o tym, że mgła to:

> zawiesina mikroskopijnych kropelek pary wodnej unosząca się nad ziemią w postaci lekkiego obłoku, powstała w wyniku skroplenia oziębionej pary wodnej zawartej w atmosferze ziemskiej.

To słownikowe sformułowanie odnosi się do świata, który może być obserwowany i komentowany przez każdego. Mgła pełni w nim rolę specyficznego ozdobnika stanowiąc, chociażby, uzupełnienie krajobrazu przez krótszy lub dłuższy czas. Ale pojawia się ona także np. na kartach książek prozatorskich i poetyckich. Jeśli chodzi o te pierwsze, to nie tylko tych beletrystycznych. Choć w powieściach, nowelach czy opowiadaniach *zawiesina mikroskopijnych kropelek pary wodnej…* jest często elementem zwiastującym Coś tajemniczego, albo też skrywającym Coś; uosabia bowiem tajemniczość. Ten nastrój może być mniej lub bardziej intensywny, w zależności, choćby, od pory dnia. W *Przygodzie w Copper Beeches*, jednym z opowiadań Arthura Conana Doyle'a, wzmianka o mgle jest

ledwie zapowiedzią zagadki, która zostanie rozwiązana przez Sherlocka Holmesa. Wzmiankowany fragment brzmi następująco:

> Był chłodny poranek wczesnej wiosny, więc po śniadaniu usiedliśmy z obu stron wesołego ognia w naszym starym pokoju przy Baker Street. Gęsta mgła kłębiła się nisko pomiędzy rzędami ciemnobrunatnych domów, a znajdujące się naprzeciwko okna wyglądały z daleka jak ciemne, bezkształtne plamy wynurzające się z ciężkich, żółtych zawojów.

O tym, co może sprawić mgła, jaką rolę pełnić, mówią poniższy utwór poetycki i fragmenty kolejnych, tyle że prozatorskich – Haiku autorstwa Issy:

> *Mgła – za mgłą księżyc*
>
> *a ja wszedłem w kałużę*
>
> *zwodne są drogi*

Wyimek z *Drugiego dziennika paryskiego* Ernsta Jüngera:

> (…) Wieczorem wybrałem się na krótką przechadzkę. Mgła była gęstsza, niż kiedykolwiek widziałem – tak nieprzejrzana, że promienie padające ze szczelin w zaciemnieniu wydawały mi się masywne jak belki, o które bałem się potknąć. Spotkałem też wiele osób, które dopytywały się o plac Gwiazdy, a ja nie umiałem wskazać im drogi; tymczasem staliśmy pośrodku placu (zapisek: Paryż, 23 lutego 1943 r.).

Cytat z *Waldenu czyli życia w lesie* Henry'ego D. Thoreau:

> (…) Wstał niezwykle mglisty ranek, słyszałem, jak zabłąkana gęś krąży nad stawem, gęgając, jakby się zgubiła, co przypominało chichot ducha mgły (rozdział pt. „Gospodarka").

Zaś w poniższym fragmencie wiersza „Późna wiosna" Roberta Hassa „zawiesinie mikroskopijnych kropelek pary wodnej" zostały przypisane cechy wręcz antropomorficzne:

> *(…) są noce, kiedy wtacza się mgła, nikt jej nie lubi – hej, ty, mgła,*
>
> *śpiewali Indianie Miwok, którzy mieszkali tu kiedyś, wróć lepiej do*
>
> *domu, pelikan bije twoją żonę –*

Mgła może skrywać Coś oczekiwanego, wręcz wyczekiwanego. Może też jednak czaić się w niej Coś niebezpiecznego. Ale również ona sama może być śmiertelnie niebezpieczna. Tak jak zostało to przedstawione w horrorze filmowym zatytułowanym po prostu „Mgła".

*

Mgła odgrywała też, i to niejednokrotnie, istotną rolę w działaniach wojennych (pewnie jest tak nadal). Tak jak, chociażby, w bitwie pod Lutynią stoczonej w grudniu 1757 r. (jej wynik miał znaczący wpływ na przyznanie prawie całego Śląska Prusom). Wtedy to bowiem wczesnoporanna mgła ukryła ruchy

wojsk pruskich przygotowujących się do ataku na linie austriackie.

W końcowej fazie bitwy pod Loano (listopad 1795 r.), stoczonej w ramach wojny z I koalicją antyfrancuską, nagłe pojawienie się mgły, której towarzyszyły niewielkie opady śniegu i gradu, poważnie utrudniło pościg armii francuskiej za pokonanymi siłami austriacko-sardyńskimi. A w rezultacie uniemożliwiło osiągnięcie całkowitego zwycięstwa.

Wojskowości dotyczy termin „mgła wojny" (niem. *Nebel des Krieges*), po raz pierwszy użyty przez Carla von Clausewitza w traktacie *O wojnie*. A odnoszący się do nieznajomości sił przeciwnika i ich rozmieszczenia, jak też niewiedzy co do jego zamiarów.

Mgła, podobnie jak chmura, jest m. in. „emblematem rzeczy nieokreślonych, stapiania się powietrza i wody, zaciemnionych, zamazanych kształtów i zarysów, zmiennych zjawisk i pozorów osłaniających niezmienność prawd wyższych, wspomnieniem Chaosu poprzedzającego istnienie Ziemi"**.

Mając na uwadze, że mgła symbolizuje m. in. to, o czym jest mowa w poprzednim akapicie, warto wspomnieć o tym, co z kolei jest emblematem jej samej. Mówi o tym poniższy wiersz autorstwa piszącego te słowa.

Ze „Słownika symboli” Władysława Kopalińskiego

> *Z nadrzecznej mgły wypłynął bezszelestnie*
>
> *Symbol owej mgły –*
>
> *Łabędź*

Ów ptak nie jest jedynym emblematem mgły. Inne to np. obłok, śnieg.

*

Bardzo wczesnym letnim rankiem przed wielu latu, moim oczom ukazał się widok wręcz oniryczny: gęsta mgła, której równa warstwa miała około metra grubości, unosiła się pół metra nad powierzchnią bagna. W rezultacie tego niskie sosny i brzozy

porastające je z rzadka, wyglądały jakby posiadały jedynie pół metrowy najniższy fragment pnia i czubek różnej, w zależności od drzewa, długości. Zaś ich środkowa część znikła za sprawą jakichś czarów.

Wrażenie jakich doznaje się w związku z mgłą są różne, niekiedy diametralnie różne. A to w zależności od tego czy obserwuje się ją z pewnej odległości (w tym wypadku istotne jest miejsce, z którego prowadzi się obserwację: otwarta przestrzeń czy pomieszczenie), czy też, gdy zbliża się ku miejscu, nad którym zawisła „zawiesina mikroskopijnych kropelek pary wodnej". Zupełnie inne doznania wchodzą z kolei w grę, gdy otacza ona obserwatora. Ważne jest przy tym to, czy ma się do czynienia z mgłą lekką, białą, gęstą, wręcz nieprzeniknioną; jak też poranną bądź wieczorną. Nie bez znaczenia, jeśli chodzi o ludzkie doznania, mam tu na myśli jednak przede wszystkim estetykę, może też być postać jaką ona przybiera: obłoku, pasma, kłębów, czy też welonu. Już dawno bowiem zauważono, że mgła, i to bez względu na to, w jakiej prezentuje się postaci, i o jakiej porze, jest bardzo malarskim zjawiskiem atmosferycznym (podobnie jak np. burza, sztorm, chmury, a w o wiele mniejszym stopniu – deszcz, opad śniegu). Przykładem jej częstego wykorzystania, i to z tego właśnie powodu, może być klasyczne malarstwo chińskie, szczególnie to powstałe za panowania dynastii Song (IX i X w. n.e. to złoty okres malarstwa pejzażowego) i Ming. Jest ona bowiem jego istotnym, obok obłoku, elementem. Nie stanowi

jednak tematu samego w sobie. Za przykład mglistości w malarstwie chińskim może służyć poniższy obraz:



Wang Shen [1036-ok. 1093], Piętrzące się urwiska wyłaniające się z mgły i rzeki.

Owa częsta obecność *zawiesiny mikroskopijnych kropelek pary wodnej unoszącej się nad ziemią w postaci lekkiego obłoku* we wspomnianym malarstwie, zresztą nie tylko klasycznym, ma swoje uzasadnienie/wyjaśnienie m. in. w pojęciu Pędzla i Tuszu obecnym we wszelkich opracowaniach dotyczących malarstwa Kraju Środka. Chodzi o przekonanie, że rozcieńczając mniej czy bardziej, w zależności od potrzeb, czarny tusz jest się w stanie oddać wszelkie barwy i ich odcienie występujące w naturze.

Uzupełnieniem tego poglądu znajdującego szerokie zastosowanie w malarstwie chińskim, jest koncepcja Jednej Kreski. Według której kreska jest czymś więcej niż linią, konturem, posiada bowiem głębię. Su Dongpo tak napisał na temat tego pojęcia:

> Góra, skała, bambus, drzewo, zmarszczki na wodzie, mgły i chmury, wszystkie te rzeczy z natury pozbawione są stałego kształtu, ale każda z nich ma stałą wewnętrzną linię***.

Jedną z konsekwencji braku stałego kształtu jest wynikające z tego „ułatwienie" w malowaniu mgły i obłoków. Tym bardziej, że za określeniem „mglistość" kryje się np. właśnie *„brak wyraźnych zarysów, kształtów; niewyraźność": Mglistość rysunku. Mglistość postaci, przedmiotów, konturów*****. W sumie poglądy teoretyczne i charakter *zawiesiny mikroskopijnych kropelek pary wodnej* zaowocowały, jakby naturalną rozmytością pejzaży namiętnie malowanych przez malarzy chińskich w różnych epokach.

Podobną rolę mgły, jak i chmury, można obserwować w malarstwie japońskim. I to nie tylko tym inspirowanym zenem. Rola ta wynika bowiem także z bardzo istotnego wpływu kultury chińskiej na japońską (i nie wyłącznie na nią). Nie tylko, choćby, za sprawą pisma, ale także właśnie malarstwa. I to zarówno jeśli chodzi o tematy, techniki malarskie, jak i teorię dotyczącą tej

gałęzi sztuk plastycznych.



Caspar David Friedrich, Brzeg morski we mgle.

W malarstwie zachodnim mgła długo nie była obecna (w przeciwieństwie do chmury), podobnie zresztą, jak, mówiąc ogólnie, wszelka mglistość. Pojawiła się w nim dopiero w XVI w. W kolejnych wiekach, z wyłączeniem jednak XX (co będzie w XXI w. czas pokaże), było pod tym względem coraz lepiej. A malarze romantyczni mgłę wprost uwielbiali – nie ma w tym przesady (nie pozostawali pod tym względem w tyle, choćby o krok, poeci romantyczni). Caspar Dawid Friedrich jest ich przykładem. I to

przykładem wyjątkowo, że użyję takiego określenia, mglistym (także chmurnym, wieczornym, nocnym).

---

* *Słownik języka polskiego*, PWN, Warszawa 1979.

** Władysław Kopaliński, *Słownik symboli*; Oficyna Wydawnicza RYTM, Warszawa 2006.

*** François Cheng, *Pustka w chińskim malarstwie*; w: *Estetyka chińska. Antologia*, pod red. Adiny

Zemanek, Universitas, Kraków 2007.

**** *Słownik języka polskiego*, PWN 1979.

List z nadzieją



Ryszard Kapuściński, fot. polskieradio.pl

Ryszard Kapuściński (1932 – 2007)

Barbara Gruszka-Zych

– Do tego, żeby uprawiać dziennikarstwo, przede wszystkim trzeba być dobrym człowiekiem – pisał Ryszard Kapuściński. Warto pamiętać te słowa dziś, gdy dziennikarze goniąc za sensacją zapominają o współodczuwaniu z opisywanymi bohaterami. Kapuściński był dobrym reporterem i dobrym człowiekiem.

Ci, co uprawiają dziennikarstwo reportażowe uczyli się na kolejnych jego książkach. Ci, co chcieli poznać prawdę o Afryce, Azji, Ameryce Łacińskiej, Rosji, Polsce, ale i w ogóle świecie – dokładnie je czytali. Ryszard Kapuściński podniósł reportaż do rangi literatury pięknej. Każdy rasowy reporter w Gazie, Bagdadzie czy Kurdystanie zna go i podziwia. Jego książki przetłumaczono na dziesiątki języków. Wystawiano na deskach

ważnych teatrów. Szczególnie uwielbiano go we Włoszech. Jego nazwisko znajdowało się na liście kandydatów do Nagrody Nobla. Kapuściński często wspominał, że praca reportera, a zwłaszcza korespondenta agencyjnego to nie tylko zawód, za który można zarobić pieniądze. – Moja praca to powołanie, misja – powtarzał. Starał się robić coś dobrego dla innych. Wierzył w moc słowa. Kiedy jako pierwszy zaczął pisać o mordach w Rwandzie, usłyszał o tym cały świat. I sytuacja w tym kraju powoli zaczęła się zmieniać.

Reporter z przerwami na wiersze

Urodził się 4 marca 1932 w Pińsku na Polesiu, w dzisiejszej Białorusi, na prowincji. Do dziś w centrum miasta bociany wiją tam gniazda. Polesie chodziło za nim nieustannie. Obiecywał sobie, że kiedyś o nim napisze. Na belce, podtrzymującej sufit w jego pracowni na warszawskiej Ochocie, wśród niewielu innych zdjęć, wisiała oprawiona fotografia Pińska sprzed wojny. Od kiedy jako siedmiolatek razem z matką uciekł stamtąd przed wywózkami, stale był w podróży. Notował, że wojna, której się wtedy naoglądał, stale w nim jest. Niektórzy twierdzili, że te przeżycia przygotowały go do wyjazdów w charakterze korespondenta wojennego. Przez rok studiował polonistykę, potem historię. Fascynowało go jak tworzyli ją konkretni, szarzy ludzie. Historię z takiej perspektywy opisywał potem w swoich książkach reportażowych. *Cesarz, Heban, Wojna Futbolowa, Kirgiz schodzi z konia, Imperium*. W każdej po mistrzowsku

przedstawiał realia przewrotów, rewolucji, zwykłego życia. W *Imperium* zamiast pisać o wielkiej moskiewskiej polityce pokazał prowincję i największą w świecie produkcję drutu kolczastego – symbolu systemu. Debiutował wierszami na łamach dodatku do tygodnika *Dziś i jutro* w wieku 17 lat. W stanie wojennym wrócił do poezji i wydał *Notes (*przetłumaczony na włoski i tam doceniony) oraz krótkie notatki, zebrane w tomach *Lapidaria*. Nie chciał wyjeżdżać z kraju, jako korespondent, kiedy koledzy byli internowani. Stale wracał do lektury wierszy. Uważał, że uczą dyscypliny, „walczą o piękno języka". Po raz pierwszy wyjechał jako korespondent *Sztandaru Młodych* do Indii, Afganistanu i Pakistanu kiedy miał 24 lata. Potem wielokrotnie pisał o „milczącej nędzy" tych krajów. Stał się jej głosem. Podkreślał dysonansy między światem cywilizowanym a Afryką, krajami Trzeciego Świata. Prorokował, że trzecia wojna światowa toczyć się będzie nie o ropę, ale wodę, której coraz bardziej brakuje.



Z prawej: Ryszard Kapuściński, zdjęcie z wystawy „The Poet of Reportage”.

Bliski inny

Koledzy, którzy zaczynali z nim pracę reporterską w latach 60-tych, dawno zmienili zawód. Zostali menadżerami, szefami stacji telewizyjnych. Skończyła im się ciekawość świata – siła napędowa podróżowania. On pozostał w drodze. To stan idealny dla piszącego reportaże. *„W prasie, telewizji dążą do skrótu – notował. – Kiedy możesz zapisać co najwyżej dwie strony, nie ma miejsca na całe bogactwo odcieni”.* Dziennikarz na ogół musi dokonywać dramatycznych wyborów, dostosowywać się do

bolesnych ograniczeń. Dlatego zaczął pisać książki. Nigdy nie nagrywał i nie notował. Nie chciał tracić bezcennego wyjazdowego czasu. Wierzył w swoje akumulatory: pamięć i imperatyw rejestrowania przeżyć. Niektórzy zarzucali mu, że nie zachowuje chronologii wydarzeń i myli nazwiska. Dla niego ważne było własne spojrzenie. Przedstawienie samej esencji, prawdy wydarzeń, które przeżył, stając się częścią opisywanej wspólnoty. Zawsze dostrzegał „innego" – przedstawiciela mniej znanej części globu, kultury – jako kogoś bliskiego. Podkreślał, że Europa to nie centrum świata. Sam zresztą poczuł się „inny", kiedy w 56 po raz pierwszy leciał do Afryki z postojem w Rzymie. Siedział w kawiarni na Piazza Venezia z *Dziejami* Herodota, kolegi – jak uważał – po piórze sprzed dwóch i pół tysiąca lat, i widział, że sąsiedzi na niego popatrują. Był inny, z socrealistycznego świata.

Wspólna igła

Jedenaście razy znalazł się na linii frontu. Cztery – uniknął śmierci. Ale nie jeździł dla samego ryzyka. Chciał być razem z innymi, zrozumieć ich. Uważał, że źli ludzie nie mogą być dobrymi reporterami. *„Bo nie potrafią wczuć się w życie opisywanych i stać częścią ich losu"*. Miesiące w tropikach, niespodziewane choroby, wyniszczenie serca – to była ogromna cena, jaką płacił. Przez rok chorował na gruźlicę, a przy tym pracował, wysyłał korespondencje. Leczył go w leprozorium jedyny lekarz na całą wschodnią Afrykę. Wkłuwał mu co dzień

zastrzyk z penicyliną. W sumie – 360 zastrzyków. Mieli tam jedną igłę, z której korzystali wszyscy chorzy. Już w pierwszym zbiorze Busz po polsku, pokazującym życie na mazurskiej wsi, skupiał się na konkretnym człowieku, detalach z życia, drobiazgach. *„Jak opisać ulicę w jednym mieście, żeby odczuli jej ruch, jej klimat, jej trwanie i zmienność, jej zapach i szum" – zastanawiał się. – „Trzeba pamiętać, że reportaż jest zawsze pracą zbiorową, ma wielu autorów. (...) Na reportaż składają się cudze głosy i doświadczenia"* – przypominał w *Autoportrecie reportera,* elementarzu dla dziennikarzy. Podkreślał, że praca nauczyła go pokory, szacunku dla innych. Sam był skromny, nie wchodził w rolę autorytetu. Pamiętam, jak po wystąpieniu na konferencji w Krakowie, stał gdzieś z boku, cichy, w granatowym płaszczu.

W hotelu na tratwie

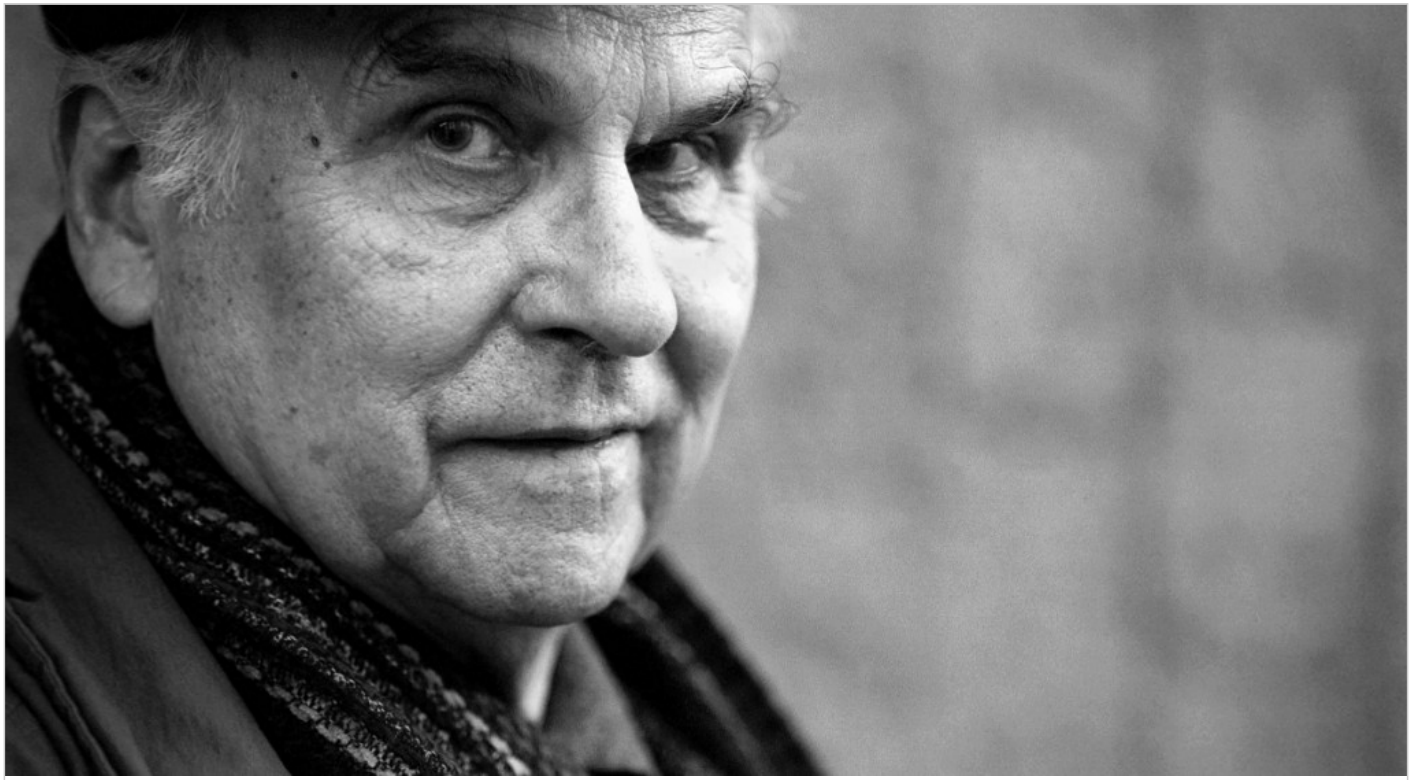
Wyruszał w drogę bez kufrów i waliz. Aparat fotograficzny, kilka koszul. – *„Im mniejszy bagaż, tym dalej można dotrzeć"* – mawiał. Podróżował drugą klasą. Mieszkał w hotelach trzeciej kategorii. Uważał, że tam można zajrzeć pod podszewkę codzienności, poznać fascynujących ludzi. Gdyby nie zamieszkał w hotelu „Metropol", czyli na tratwie zacumowanej przy bocznej dzielnicy tropikalnej Akry, nie poznałby wuja Wally i nie napisałby jednego z tekstów *Wojny futbolowej*. Obrazków życia w egzotycznych miastach świata, które tworzą konkretni ludzie. Ich przeżycia, marzenia, przyzwyczajenia. Przed każdą podróżą czytał poznając teren. Przed napisaniem *Hebanu* 260 tytułów. Gromadził

„podręczne”, kilkutysięczne biblioteki nie tylko w Warszawie, ale w Lagos, Dakarze, Oxfordzie, Meksyku, Stanach.

Wiersz i list

i nie zostało mi nic oprócz Boga -/to znaczy/zostało wszystko/jeżeli wierzysz – na to haiku Kapuścińskiego trafiłam w wydanej w zeszłym roku antologii polskiego epigramatu. Pomyślałam, że poświęcił się dłuższym formom dziennikarskim, a w tej miniaturze zawarł aż tyle. Od dawna planowałam z nim rozmowę. Bo reportaż i haiku to także moje ulubione gatunki. Ale stale wyjeżdżał, ostatnio do ulubionych Włoch. 5 listopada 2006 dostałam od niego list: *Droga Pani Barbaro – Dziękuję za list i za zaproszenie do rozmowy. (…) Teraz znów wyjeżdżam wykładać na uniwersytecie w Kolumbii. Będę w kraju z powrotem wiosną 2007 i proszę zadzwonić do mnie wówczas, a wtedy mam nadzieję, wreszcie umówimy się na spotkanie.*

23 stycznia 2097 roku Ryszard Kapuściński zmarł w warszawskim szpitalu przy ul. Banacha na rozległy zawał. Zamiast wywiadu został mi list z zapisaną przez Niego nadzieją na spotkanie.



Ryszard Kapuściński, fot. panenka.org